

Barbara Cartland

Morze miłości

Ola and the Sea Wolf



Rozdział 1

ROK 1831

W tawernie Trzy Dzwony panowała niezwykła dla tego miejsca cisza. Położona w pobliżu portu w Dover, odwiedzana była przez żeglarzy, dokerów i kupców zaopatrujących statki. Gęsta mgła zdawała się wciskać do niskiego pomieszczenia i tylko skwierczące na kominku żagwie rozjaśniały ciemności. Właściciel Trzech Dzwonów z nadzieją spoglądał na drzwi, licząc że ktoś przyjdzie. Potem jego wzrok wędrował ku jedynemu klientowi, który siedział z wyciągniętymi nogami naprzeciwko kominka. Nie poruszył się od momentu kolejnego napełnienia szklaneczki. Oberżysta zaniepokojony był nie tyle zbyt swobodnym zachowaniem tego człowieka, co losem jedynej butelki najlepszego francuskiego koniaku, którą podał gościowi.

Kupił ją za grosze od pewnego żeglarza, choć był to alkohol w najlepszym gatunku. Jego zwykła klientela rzadko o taki prosiła.

Obserwował przybysza i zastanawiał się kim on jest. Roztaczał wokół siebie taką aurę dostojeństwa, że nie ulegało wątpliwości, iż to ktoś znaczny. Na wszelki wypadek przywitał go wylewnie, gdy tylko się pojawił. Dżentelmen nie był skory do rozmowy, więc oberżysta mógł tylko przypuszczać, że jest właścicielem jednego z jachtów cumujących w porcie, które z powodu mgły zostały zatrzymane tutaj wraz z innymi statkami. Gość podniósł szklaneczkę do ust. W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do pomieszczenia weszła kobieta. Miała na sobie podarty płaszcz obsyty drogim futrem, w ręce trzymała skórzaną torbę. Drżała z przerażenia. Przez chwilę stała rozglądając się wokoło, jakby lekko zdezorientowana. Wtedy właściciel odezwał się tonem pełnym szacunku:

- Dobry wieczór, madame!

Kobieta spojrzała na niego wielkimi, szeroko otwartymi ze strachu oczami.

- Zdarzył się... wypadek - powiedziała.

- Wypadek, madame?

- Na zewnątrz... może... trochę dalej... w dół drogi. Zobaczyłam światła tawerny... - mówiła nieco nieskładnie.

- Wyślę kogoś do pomocy, madame - odparł właściciel. - Proszę usiąść przy kominku. Mój człowiek po powrocie opowie co tam zastał.

Podszedł do drzwi prowadzących na zaplecze.

- Joe! Jesteś tam?

- Pewnie, Guv - odparł jakiś głos.

- To wyskocz na dwór i zobacz czy mógłbyś pomóc. Jest tu dama, która mówi, że był wypadek.

- Już idę.

Oberżysta wyszedł zza baru, żeby podprowadzić kobietę do kominka, bo poruszała się bardzo niepewnie, jakby za chwilę miała upaść. Wskazał jej krzesło naprzeciwko siedzącego dżentelmena i powiedział:

- Na pewno napije się pani czegoś po takich strasznych przeżyciach.

- Jest bardzo... mglisto.

- Tak, wiem, madame, dzisiaj tak jest cały dzień. Więc co mógłbym podać? Mamy tu chyba wszystko, na co miałaby pani ochotę.

- Czy mogłabym... dostać... filiżankę herbaty? Zawahał się. Pomyślał, że gorzka i mocna herbata, jaką pije jego żona, nie smakowałyby komuś tak eleganckiemu i delikatnemu, jak siedząca przed nim dama. Wtedy odezwał się nieznajomy mężczyzna:

- Jeśli miała pani jakiś wypadek, może lepiej napić się brandy. Ta tutaj jest całkiem niezła.

Dama spojrzała na niego i po chwili wahania odparła:

- To bardzo... miło z pańskiej strony, sir, ale wolałabym herbatę albo kawę.

- Nie polecałbym ich w takim miejscu jak to! - odparł pogardliwym tonem mężczyzna.

Uznając jego powiedzenie za nieuprzejme wobec właściciela tawerny, pośpiesznie dodała:

- Może łatwiej będzie o małą szklaneczkę madery...

- Natychmiast przynoszę! - odparł właściciel.

Zadowolony z zamówienia, wszedł za bar. Kobieta czuła, że człowiek siedzący naprzeciwko obserwuje ją spod przymkniętych powiek. Sprawił na niej odrażające wrażenie. Czowała się nieco zażenowana, więc postawiła torbę obok siebie i zajęła się zdejmowaniem rękawiczek. Wrócił gospodarz, niosąc małą szklaneczkę madery.

- Jest dobrej jakości, madame - powiedział. - Mam nadzieję, że będzie pani smakowała.

- Na pewno - odparła kobieta - bardzo dziękuję. - Wzięła od niego szklaneczkę i spytała nagłym tonem: - Mógłby mi pan powiedzieć, kiedy odpływa najbliższy statek do... Francji?

- Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, madame - odparł oberżysta. - Przez cały dzień żaden statek nie wypłynął z portu. Powiedziano mi, że to najgorsza mgła od ponad dwudziestu lat!

- Ale musi być jakiś... na przykład jutro rano... Teraz ponaglenie w jej głosie brzmiało bardzo wyraźnie. Oberżysta pokręcił głową.

- To zależy od wiatru, madame. Jeśli wiatr się wzmoże, to trzeba czekać aż Britannia przyplynie tu z Calais i będzie wracać po południu.

Kobieta krzyknęła przerażona.

- Dopiero po południu? Ale na pewno jest jakiś statek, który wypływa rano.

- Utknęły po drugiej stronie kanału - odrzekł oberżysta.

- Ale ja chcę wyjechać... ja muszę wyjechać tak szybko... jak to tylko możliwe. - Oberżysta milczał, a ona z rozpaczą w głosie powiedziała:

- Może zabierze mnie łódź rybacka? Oni chyba wypływają o świcie?

- Gdy jest taka pogoda, madame, nie wypływają. A poza tym oni i tak łowią przy brzegu.

Była tym wyraźnie poruszona. Widział rozpacz malującą się na jej twarzy. Zaciskała nerwowo długie palce.

- Powiem pani co zrobię, madame - próbował ją uspokoić oberżysta. - Poślę Joego na nadbrzeże, żeby zapytał kapitana portu, czy można pani jakoś pomóc.

Oczy kobiety zajaśniały.

- Naprawdę pan to zrobi? To bardzo miło z pana strony. Proszę przekazać Joemu, że chętnie go za to wynagrodzę.

- Dziękuję, madame. Niedługo powinien wrócić. Zastanawiam się, co go zatrzymało?

Podszedł do drzwi, by wyrzucić na zewnątrz. Do środka niby ciemna chmura wpłynęła mgła. Drzwi zamknęły się za nim, a kobieta osunęła się na krzesło i zamknęła oczy. Czuła, że robi jej się słabo.

- Proszę wypić swoją maderę! - odezwał się siedzący po drugiej stronie kominka mężczyzna.

Nie miała siły odpowiedzieć, ogarnęła ją ciemność i mimo że była blisko ognia, poczuła przenikliwe zimno. Miała wrażenie, że ktoś podkłada dłoń pod jej głowę i przytyka szklanekę do ust. Wbrew własnej woli wypła łyk. Czuła jak paląca ciecz spływa jej do gardła i rozlewa się po całym ciele. Niemal natychmiast ciemność zniknęła i łatwiej było oddychać.

- Jeszcze łyk brandy - dobiegł ją szorstki głos. Posłuchała go, bo w tym momencie nie miała siły zaprotestować. Drugi łyk pomógł skuteczniej niż pierwszy, otworzyła oczy i ujrzała

pochylnego nad sobą mężczyzną. Był niezwykle przystojny, może poza spojrzeniem mrocznym i cynicznym, jak cała jego twarz. Obawiała się, że zmusi ją jeszcze do wypicia i podniosła rękę w geście protestu.

- Proszę - powiedziała błagalnie - już nic mi nie jest... nie mogę wypić więcej. Jakby zdał sobie sprawę, że mówi prawdę, odsunął się i stanął plecami do ognia. Zauważyła, że był bardzo wysoki, niemal sięgał głową sufitu. Milczał, więc po chwili odezwała się: - Dziękuję, że był pan tak miły. Ten wypadek... wyczerpał mnie.

- Ktokolwiek panią wiozł, musiał być głupcem, żeby wyjechać w taką pogodę.

- To... moja wina.

Gdy to mówiła, drzwi otworzyły się i wszedł oberżysta. W milczeniu spojrzął na kobietę i przytrzymał drzwi, przez które przeszło dwóch ludzi, niosących nieprzytomnego mężczyznę. Twarz miał zalaną krwią, ciekącą z otwartej rany na czole, a ubranie uwalane błotem. - Połóżcie go na górze w pokoju gościnnym - wydawał polecenia oberżysta. - Joe potem pójdziesz po doktora. Znajdziesz go w Koronie i Kotwicy. Zawsze spędza tam wieczory.

- Jasne, Guv - odparł Joe.

Jego głos stał się ledwie słyszalny, gdy z wysiłkiem nieśli nieprzytomnego przez drzwi przy barze, prowadzące do drugiej części tawerny. Gospodarz pośpieszył za nimi pouczając, jak należy nieść ostrożnie chorego podczas wspinania się po schodach na pierwsze piętro. Gdy ujrzała rannego człowieka, kobieta zerwała się z krzesła i stała bez ruchu, póki nie zniknął jej z oczu. Teraz odezwała się, jakby sama do siebie:

- Musi być... statek... musi być! Mężczyzna przy kominku odwrócił się, aby spojrzeć na nią i zdał sobie sprawę, że zapomniała o jego istnieniu.

- Czy to pani mąż i chce pani od niego uciec? - zapytał drwiącym tonem. - A może opiekun? - Pomyślał, że to drugie było bardziej prawdopodobne.

Ranny mężczyzna musiał mieć około czterdziestu lat, a kobieta stojąca przy nim niewiele ponad osiemnaście. Na dźwięk jego głosu odwróciła głowę i w świetle padającym od kominka mógł się jej lepiej przyjrzeć. Miała niezwykle piękną wyrazistą twarz i oczy okolone czarnymi długimi rzęsami. Wyglądała interesująco, lecz w jego spojrzeniu nie było podziwu, gdy odezwał się, jakby szydząc: - Na pewno albo jedno, albo drugie!

Usiadła na krześle, potem odrzekła:

- Ani jedno, ani... drugie! To człowiek, który mnie uprowadził i dlatego muszę uciec!

- Porwał panią? Więc to nic trudnego. Może pani wynająć karetkę pocztową i wrócić tam, skąd przybyła.

Kobieta potrząsnęła głową.

- To... niemożliwe!

- Proszę mi to wyjaśnić! Nie pytam z ciekawości, ale może mógłbym pomóc, chociaż nie chcę się narzucać.

Twarz kobiety natychmiast zmieniła wyraz.

- Ach... mógłby mi pan pomóc... naprawdę? Naprawdę mógłby pan znaleźć statek... albo... - Zawahała się przez chwilę, a potem, jakby biorąc pod uwagę strój mężczyzny, dokończyła: - ...albo może... ma pan własny?

- Najpierw ja zadam pytanie - odparł mężczyzna. - Dlaczego pani ucieka? Od kogo?

Kobieta wstrzymała oddech, zanim odparła:

- Od... mojej macochy!

Mężczyzna uniósł brwi. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Potem rzekł:

- Może powinniśmy się poznać. Jestem markiz Elvington...

Zanim zdążył powiedzieć więcej, kobieta cicho krzyknęła:

- Słyszałam o panu! Jest pan sławny i oczywiście ma jacht. To dlatego jest pan tutaj. Ach proszę, proszę zabrać mnie do Francji. Muszę uciekać, jak najszybciej uciekać!

- Od tego człowieka na górze, który panią porwał?

- Tak... nigdy nie przypuszczałam... nie wyobrażałam sobie... tej chwili, gdy zachował się...

Słowa zamarły jej na ustach i dłońmi uczyniła bezradny, nieco patetyczny gest.

- Czekam, żeby mi się pani przedstawiła - powiedział markiz.

- Ja... jestem Ola Milford. Moim ojcem był lord Milford. Mieszkałam w Canterbury.

- Wydaje mi się, że słyszałem to nazwisko - niepewnie powiedział markiz.

- Tata nie bywał często w Londynie. Wołał wieś, a poza tym nie czuł się najlepiej już na dwa lata przed... śmiercią.

- Mówiła pani, że ucieka od swojej macochy...

- Tak... nie mogę... zostać z nią... ani chwili dłużej! To... niemożliwe!

- Dlaczego?

- Ona mnie nienawidzi! Zrobiła piekło z mojego życia! Jest moją opiekunką, ale nie dostaję nic z tych pieniędzy, które zostawił mi ojciec. Są moje, ale nie mam do nich dostępu, dopóki... nie skończę dwudziestu jeden lat... albo nie wyjdę za mąż.

- To nie powinno być trudne - cynicznie oparł markiz.

- Pan nic nie rozumie! - powiedziała Ola. - Macocha wyszła za mojego ojca trzy lata temu, gdy był taki nieszczęśliwy po śmierci mamy... Ona jest... jest o mnie zazdrosna. - Zawahała się wypowiadając ostatnie słowo, jakby wstydziła się wyznać prawdę. Potem mówiła dalej: - Wciąż powtarza, że chce się mnie pozbyć, ale nie pozwala mi nigdzie

wyjsć... a jeśli jakiś dżentelmen odwiedza nasz dom, nie pozwala mu się ze mną widzieć. Myślę, że ona sama chce znowu wyjść za mąż.

- Na pewno są jeszcze inni krewni, u których mogłaby pani zamieszkać - zasugerował markiz.

- Tak myślałam, ale gdy jej o tym wspomniałam - odparła Ola - macocha nie chciała ze mną rozmawiać na ten temat, bo bała się, że zabiorę ze sobą pieniądze. - Westchnęła ciężko. - Te pieniądze są źródłem kłopotów zarówno z macochą, jak i z... kuzynem, który... leży na górze. - Spojrzała w górę i lekko zadrżała.

- Pani kuzyn? - zapytał; - A co on ma z tym wspólnego?

- Byłam zrozpaczona tym, jak macocha mnie traktuje. Pan nie wie co to znaczy żyć w nienawiści i... nieustannym poczuciu winy.

- Wyobrażam sobie - odparł markiz. - Proszę mówić dalej.

- Pozostało mi tylko jedno, wrócić do klasztoru pod Paryżem, gdzie się uczyłam i wstąpić do zakonu albo, co moja macocha dość często proponowała, zostać kokotą!

Markiz był wyraźnie zaskoczony.

- Kim? - zapytał. - Czy pani w ogóle wie, co mówi?

- Nie wiem... nie wiem dokładnie co to oznacza - przyznała Ola - ale ona nie raz, lecz tysiące razy powtarzała: „Z takimi włosami powinnaś być kokotą, właściwie tylko do tego się nadajesz!”

Na potwierdzenie swych słów zsunęła z głowy kaptur płaszcz, którego nie zdjęła po wejściu do tawerny. Nagle wydało się, że płomienie z ogniska przeniosły się naprzeciw markiza. Widział wiele rudych kobiet, ale włosy żadnej z nich nie miały tak pięknej i żywej barwy, jak u dziewczyny siedzącej przed nim. Przykryte ciężkim kapturem obszytym futrem, przez chwilę przylegały do głowy, lecz gdy przebiegła

po nich palcami, nabrały życia i blasku, a ich żywy odcień nadał jej cerze nienaturalną biel. - Nic dziwnego - pomyślał - każda kobieta, a szczególnie macocha, chciałaby się pozbyć rywalki o tak niezwykłej, wspaniałej urodzie! - Wiedział, że Ola czeka na odpowiedź, więc rzekł oziębło:

- Nie mogę poprzeć żadnej z tych propozycji. Powinna pani pomyśleć o czymś innym.

- Myślałam - odparła Ola - ale co mogę zrobić, jeśli macocha nie chce dać mi pieniędzy ani zgodzić się na mieszkanie bez niej?

- To jest kłopot.

- Oczywiście, że jest! - odparła stanowczo. - Zapewniam pana, że nie zamierzam zrobić nic nierozsądnego. Chcę się po prostu zatrzymać u sióstr i porozmawiać o mojej sytuacji z matką przełożoną, która zawsze była dla mnie bardzo dobra. - Przerwała, a po chwili dodała: - Może powinnam zabrać welon. To na pewno uchroniłoby mnie od napaści i prześladowań, jakich doświadczyłam przez ostatnie lata.

- Dziwi mnie, że jest pani taka bojaźliwa. Uraziły ją nie tylko słowa, lecz i ton jego wypowiedzi, więc usiadła sztywno.

- Dobrze panu tak mówić - odparła. - Nie ma pan pojęcia, co to znaczy być poszturchiwanym lub bitym, gdy macocha akurat miała pod ręką bat. - Wstrzymała oddech, a potem mówiła dalej: - Służącym nie wolno było wypełniać moich poleceń ani przynosić mi jedzenia, gdy tego zakazała. Kiedy do domu przyjeżdżali goście, musiałam siedzieć w sypialni, a jeśli byli to przyjaciele mamy, byłam tam zamykana, żebym nie mogła z nimi porozmawiać. - Westchnęła ciężko. - Próbowałam się najpierw sprzeciwić, a potem przyzwyczać przez dwa lata, lecz jedynym sposobem, by zostać przy zdrowych zmysłach, była ucieczka stamtąd.

- Więc postanowiła pani jechać do Francji - powiedział markiz. - A skąd wzięła się eskorta?

Ola zacisnęła wargi i odpowiedziała zmienionym głosem:

- On postąpił nikczemnie! Nigdy nie przypuszczałam, że jakikolwiek mężczyzna może być takim zdrajcą!

- A cóż takiego zrobił?

- To mój starszy kuzyn i zawsze myślałam, że jest bardzo miły. Gdy zatrzymał się u nas na zaproszenie macochy, zostawiłam mu w sypialni kartkę, w której błagałam, żeby zobaczył się ze mną bez świadków, i on się zgodził. - Spojrzała na markiza, sprawdzając czy słucha, a potem mówiła dalej: - Podczas kolacji dał mi znak i gdy wcześniej zostałam odesłana do sypialni, aby macocha mogła z nim porozmawiać, przedostałam się przez balkon do jego pokoju, sąsiadującego z moim. To było niebezpieczne, ale udało mi się to zrobić.

- Zdziwił się?

- Pewnie przypuszczał, że do niego przyjdę, ale nie wiedział, że byłam na noc zamykana w swoim pokoju. - Markiz wyglądał na zaskoczzonego, a Ola powiedziała ze smutkiem: - To dlatego, żebym nie widziała, co moja macocha robi ze swymi przyjaciółmi, którzy się u nas zatrzymywali. Nie musiała się martwić. Nie interesowało mnie to. Ja tylko... nienawidziłam jej!

- Z takimi włosami... chyba jest pani dość wybuchowa! - odparł markiz.

- Jeśli usłyszę jeszcze jedną uwagę na temat moich włosów od pana lub od kogoś innego - odpowiedziała zdenerwowana Ola - to albo je zetnę, albo przefarbuję!

Zachowywała się jak mały atakujący tygrysek, więc niemal wbrew sobie markiz roześmiał się.

- Przepraszam, panno Milford. Proszę mówić dalej.

- Powiedziała Gilesowi... tak ma na imię mój kuzyn... o mojej sytuacji i... ku mej radości obiecał zabrać mnie do Paryża i zostawić w szkole, do której chciałam się udać.

- Uwierzyła mu pani?

- Przysięgał, że nie zdradzi mnie przed macochą. Sądziłam, że dotrzyma umowy.

- Więc co się stało? - zapytał markiz.

- Wyjechał wczoraj, lecz nie do Londynu, jak powiedział macosze, tylko zatrzymał się w zajeździe niedaleko naszego domu. - Ola westchnęła cicho. - Musiałam mu zaufać. Czulałam, że nikt inny nie zechce mi pomóc.

- I co było dalej?

- Wymknęłam się z domu o świcie i przekupiłam jednego z ogrodników, który był bardzo oddany ojcu, by wyniósł mój kufer, który spakowałam i naszykowałam w sypialni! - Uśmiechnęła się nieznacznie i dodała: - Poszło łatwiej niż sądziłam. Gdy zeszałam na dół, aby go wypuścić, nie było tam nikogo, chociaż tego najbardziej się bałam.

- Żadnego stróża nocnego ani odźwiernego? - dopytywał się markiz.

- Wszyscy byli w innej części domu.

- Więc uciekła pani z bagażem - stwierdził markiz. - Która kobieta nie pomyśli o swoim wyglądzie, nawet w najbardziej dramatycznej sytuacji?!

- Już panu powiedziałam - rzekła Ola - że nie mam pieniędzy. Nie byłoby mądrze wydawać na stroje pieniądze uzyskane za biżuterię mojej mamy.

- Ma pani jakąś biżuterię?

- Niedyskrecją byłoby wspomnienie o tym, gdy wybieram się samotnie w podróż - odparła Ola - ale tylko ona może uratować mnie od głodu!

- Obiecuję, że jej nie ukradnę!

- Wiem - przyznała pokornie Ola. - Lecz już raz zaufałam Gilesowi i teraz nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie... nawet panu!

Markiza rozśmieszała złość w jej głosie. Zielone oczy, widoczne w poświacie ognia, rzucały twarde błyski.

- Chciałbym usłyszeć - powiedział głośno - co zrobił pani kuzyn Giles, że zasługuje na taką naganę.

- Pomógł mi uciec. A potem... w połowie drogi do Dover oznajmił, że zamierza się ze mną... ożenić!

Markiz roześmiał się.

- Skoro jest pani bogata!

- Ale Giles jest stary! Przekroczył czterdziestkę i ciągle jest kawalerem, więc jak... jak mogłam przypuszczać, że będzie chciał mnie... poślubić? - Pomyślała, że markiz znowu chce wspomnieć o jej pieniądzach, więc mówiła dalej: - Giles powiedział mi: „Gdy się pobierzemy, z rozkoszą zajmę się administrowaniem twoim majątkiem, ale ponieważ jesteś niezwykle piękna, obowiązki małżeńskie również będę spełniał z zadowoleniem”.

- A jak brzmiała pani odpowiedź? - zapytał markiz.

- Powiedziałam mu, że prędzej umrę niż wyjdę za niego i że jest wstrętną świnia, Judaszem, któremu nigdy nie powinnam była zaufać.

- Mocne słowa! - roześmiał się markiz.

- Może pana to bawi - krzyknęła Ola - ale ja wtedy zrozumiałam, że muszę uciekać nie tylko przed macochą, ale i przed... Gilesem! - Wstrzymała oddech, zanim dokończyła: - Było w nim coś... co mnie przeraziło... nie tylko z powodu moich pieniędzy... ale sposobu w jaki na mnie patrzył, gdy zatrzymaliśmy się na lunch. - Spojrzała na markiza i mówiła dalej: - Pewnie pomyśli pan, że gdybym była mądra, uciekłabym wtedy, ale to był tylko mały zajazd i nikt poza nami nie zatrzymał się tam na lunch. Gdybym próbowała

ucieczki, Giles bez trudu by mnie schwytał, a nie mogłabym uciekać z kuferkiem biżuterii. - Popatrzyła na walizeczkę stojącą u jej stóp.

- Nie krytykuję pani - powiedział łagodnie markiz.

- Planowałam, że gdy tutaj dotrę, wsiądę na statek i przepłynę przez kanał do Francji - mówiła dalej Ola - lecz teraz, żeby uciec, musiałabym wynająć jakąś łódź.

- Dlaczego nie ożenił się z panią w Anglii?

- Myślał o tym - odparła Ola - ale bał się, że mógłby wpaść w tarapaty nie mając zgody mojego opiekuna. Miał zamiar powiedzieć, że on jest moim opiekunem i zapłacić Francuzom, którzy wtedy byliby bardziej skłonni do zorganizowania ceremonii ślubnej niż anglikański pastor.

- Najwyraźniej pani kuzyn wszystko starannie przemyślał! - rzekł markiz.

- Tylko dla własnego zysku i za to go nienawidzę! Szkoda, że nie zginął w tym wypadku!

Ledwie wypowiedziała te słowa, drzwi tawerny otworzyły się i wszedł Joe.

- Przykro mi, proszę pani, bo chociaż znalazłem doktora Pod Koroną i Kotwicą, nie będzie w stanie przyjść dzisiaj wieczorem. Zostawiłem kartkę jego koledze i napisałem, że ma się tu zjawić z samego rana, gdy tylko wytrzeźwieje.

- Dziękuję, Joe - odparła Ola. - Jestem ci bardzo wdzięczna.

Domyśliła się, że Joe zgodnie z jej obietnicą, czeka na napiwek. Szybko wyjęła z kieszeni płaszcza małą portmonetkę. Zanim zdołała ją otworzyć, markiz rzucił mu złotą monetę, którą Joe zręcznie pochwycił.

- Dziękuję, sir! - uśmiechnął się. - Sprawdzę jak się czuje pacjent. Guv powiedział, że zostanie przy nim, póki ja nie wrócę z doktorem.

Wyszedł, a Ola spojrzała na markiza.

- Czy możemy wyruszyć... od razu? - zapytała.
- Jeszcze nie powiedziałem, że zabiorę panią z sobą.
- Ale zabierze pan... proszę... powiedziec, że tak! Może mnie pan zostawić w Calais, a ja sama dotrę do Paryża.

- Sama?

- Nikt inny nie pojedzie ze mną, chyba że... Giles wyzdrowieje. - Popatrzyła na sufit, jakby bała się, że może usłyszeć jego głos. - Nie mogę do tego dopuścić, bo... on jest zdecydowany... absolutnie zdecydowany... ożenić się ze mną!

- Może pani całą historię opowiedzieć na policji i poprosić, by odwieźli panią do macochy.

- Jak może pan coś takiego proponować, po tym jak mówiłam o jej nienawiści do mnie? - zapytała Ola. - Jadę do Paryża, nawet jeśli będę musiała kupić łódź i sama przeprowić się przez kanał! - Westchnęła lekko i dodała: - Ach, dlaczego Anglia musi być wyspą?

Markiz uśmiechnął się.

- To miało swoje plusy, gdy groził nam najazd Napoleona!

- To było dawno temu, a gdyby między nami i Francją nie było morza, mogłabym pojechać do Paryża konno albo dyliżansem, chociaż one muszą być strasznie niewygodne. Widywałam je często, gdy byłam w szkole.

- Obawiam się, że nie byłaby to przyjemna podróż - sztywno odparł markiz.

- Ja nie chcę przyjemności - odrzekła Ola. - Nie rozumie pan, że chcę uciec od tego straszego życia, które jest moim udziałem? Trzeba nie mieć serca, żeby nie rozumieć ile wycierpiałam.

- Tak się składa, że sam teraz cierpię - skomentował markiz.

- Jak to możliwe? Przegrał pan fortunę w karty czy przeżył zawód miłosny? To nie idzie w parze z pańską reputacją, milordzie!

Mówiła sarkastycznie i zdziwiła się widząc wykrzywioną złością twarz markiza.

- Proszę powściągnąć język - powiedział ostro - albo zostawię panią tutaj samą z jej problemami, co zresztą byłoby najrozsądniejszym rozwiązaniem!

Ola złożyła ręce.

- Przepraszam... błagam, proszę mi wybaczyć... wiem, że to było bardzo niegrzeczne... nie powinnam się tak zachować. Proszę... proszę... mi pomóc! Jeśli pan mi odmówi... chyba rzucę się do wody. Wątpię czy ktokolwiek to zauważy, aż rano znajdą moje ciało unoszone przez fale! Mówiła z takim dramatyzmem, że markiz mimo woli uśmiechnął się.

- Przyjmuję przeprosiny, ale w przyszłości, gdy zda się pani na moją łaskę, proponuję panować nad językiem i wyobraźnią, albo zostawię panią własnemu losowi!

- Proszę... nie robić tego!

- Powinienem, gdybym był mądry! Nie interesuje mnie kogo pani poślubi i przy odrobinie zdrowego rozsądku należałoby odesłać panią do macochy!

- Ale nie robi pan tego - miękko powiedziała Ola.

- Przeraza mnie alternatywa.

- Mogę powiedzieć, co się stanie - powiedziała cicho Ola.

- Zabierze mnie pan do Calais swoim... jachtem. Mgła musi się niedługo podnieść, prawda?

Wstała, jakby chciała podejść do drzwi i wyrzeć na zewnątrz. W tej chwili na schodach rozległy się ciężkie kroki i do pokoju wszedł oberżysta.

- Nie wiem, czy zatrzyma się tu pani na nocleg, madame - zwrócił się do niej - ale jest wolny niewielki pokoik, który

mogę przygotować, chociaż nie jest on tak wygodny jak ten, w którym leży ten biedak.

Ola spojrzała na markiza.

- Zabieram tę panią z sobą - powiedział i dostrzegł zadowolenie na twarzy Oli. Właściciel tawerny był wyraźnie rozczarowany.

- A co z tym dżentelmenem na górze?

- Sam się o siebie zatroszczy - odparł markiz. - Ale ta dama miała ze sobą kufer, który został w powozie. Co się z nim stało?

- Służący, który wyszedł cało z wypadku zabrał konie do stajni położonej nieco w górę drogi - odparł oberżysta.

- Więc wyślij swego człowieka, by zabrał kufer - zarządził markiz - i niech przyniesie go na nabrzeże, gdzie przycumowany jest mój jacht. To nie dalej niż pięćdziesiąt jardów stąd.

- Wyślę go, sir - odparł oberżysta. Podeszedł do schodów i zawołał Joego. Ola

odwróciła się do markiza.

- Jak mam panu dziękować? - zapytała. - Dziękuję... dziękuję! Chyba jest pan aniołem, który zstąpił, aby mnie ocalić.

- Szczerze mówiąc - odparł markiz - muszę nie być przy zdrowych zmysłach albo to fatalny wpływ brandy, że się w to mieszam.

- Nieprawda, jest pan tylko dobrym samarytaninem - powiedziała Ola - bo jak mówiłam, trafiłam między... złoczyńców!

I znowu, gdy pomyślała o swym kuzynie leżącym na górze, jej wzrok powędrował do sufitu. Markiz przyglądając się linii jej szyi i promykowi światła we włosach pomyślał, że naprawdę postępuje nierozsądnie. Gdy wyjeżdżał z domu, poprzysiągł sobie nigdy nie mieć do czynienia z kobietami,

poza tymi, które sprzedają swe wdzięki za najwyższą cenę. Nigdy więcej - tego hasła miał się trzymać do końca życia. Na samą myśl o Sarah zaciskały mu się pięści i miał ochotę uderzyć kogokolwiek lub cokolwiek, by dać ujście potędze swych uczuć. A teraz, mimo lekcji, która każdego mężczyznę powstrzymałaby przed spojrzeniem czy choćby odezwaniem się do kobiety, przez nieuwagę związał się z tą dziewczyną. To było łatwe, ponieważ nie umiał ukryć współczucia dla niej, gdy znalazła się w trudnym położeniu. Z drugiej strony, skąd miał wiedzieć czy to, co mu mówiła, było prawdą? Mogła kłamać, tak jak kłamała Sarah. Nagle ogarnęła go chęć zmiany zdania i powiedzenia jej, żeby sama poradziła sobie z kłopotami. Albo jeszcze prościej, że musi wyjść sprawdzić jaka jest pogoda i zniknąć we mgle na zawsze. Byłby to rozważny, ale także prostacki krok, na jaki nigdy w przeszłości by się nie zdobył. Jednak to szlachetność, rycerskość i wzorowa przyzwoitość uczyniły z niego cynika. Wiedział, że nim będzie już do końca życia. „Nigdy nie ufaj kobietom, bo zawsze cię zdradzą!” To brzmiało jak cytat, który gdzieś musiał usłyszeć, chociaż powtarzał go z przekonaniem płynącym prosto z serca. Jedna myśl o Sarah doprowadziła do wrażenia, że jego ciało płonie, a wzrok przesłania czerwona zasłona. Chciał ją głośno przekląć i teraz żałował, że nie powiedział wprost, co o niej sądzi, zanim odszedł z postanowieniem, że nigdy jej nie zobaczy. - Niech to diabli! Ja uciekam! - pomyślał w drodze do Dover. Jednak wrażliwa strona jego duszy cierpiałaby, gdyby czynił Sarah wyrzuty. Broniąc się mogła kłamać albo go wyśmiać, a tego by nie zniósł.

Pierwszy raz w życiu markiz, najbardziej oblegany i pożądany mężczyzna w towarzystwie, wpadł we własne sidła. Nawet teraz, choć minął już cały dzień od tego wydarzenia, wciąż nie mógł w to uwierzyć. Przywykł do zwycięstw,

wyrósł w przekonaniu, że każda kobieta, którą się zainteresuje, tylko czeka, by paść mu w ramiona. Jak Anglia długa i szeroka nie było takiej, która nie szalałaby z radości na myśl o poślubieniu go. Gdy na nie patrzył, widział podniecenie w oczach, jednoznacznie mówiące o ich pragnieniach i marzeniach.

- Pobierzemy się, kochanie - mówił do Sarah - gdy tylko skończy się twoja żałoba. Nie chcę czekać ani dnia dłużej.

- Ach, Boydonie! - wykrzyknęła Sarah - kocham cię i przyrzekam, że uczynię cię szczęśliwym, tak jak ty uczyniłeś mnie najszczęśliwszą kobietą na świecie!

Jej głos był miękki i kuszący, a gdy podniosła na niego swe błękitne oczy, markiz był pewny, że znalazł tą bezcenną perłę, upragnioną kandydatkę na żonę. A wczorajszego wieczoru wszystko legło w gruzach.

Rozdział 2

Markiza obudził szcęk podnoszonej kotwicy, a chwilę później poczuł kołysanie jachtu, gdy wiatr zadał w postawione żagle. Głowa go bolała i w ustach miał sucho. Wiedział, że to skutki zbyt dużej ilości alkoholu wypitego poprzedniego wieczoru. Najpierw dziwnie smakowała mu brandy w tawernie na nabrzeżu, a po powrocie na jacht był tak załamany i rozgniewany na cały świat, że wysłał stewarda po karafkę najlepszego czerwonego wina, które sączył do wczesnych godzin rannych. Rozmyślania o ostatniej nocy przypomniały mu kobietę zabraną na jacht i zapytał siebie, czy do reszty stracił rozum. Jak to się mogło stać po wczorajszych doświadczeniach, które powinny dać mu naukę na całe życie. Czy był szalony, żeby związać się z kolejną kobietą? Ponieważ nie potrafił dłużej skupić myśli na jednym temacie, z wyjątkiem perfidii Sarah zaczął przypominać sobie dlaczego znalazł się w Dover, dlaczego wypił zbyt wiele i dlaczego w zimny marcowy dzień musi znieść morską podróż.

Ciągle wracało wspomnienie spotkania z Sarah. Ostatniej zimy był tak zajęty w Londynie, że nie przyjeżdżał zbyt często do Elvin. Brał udział w wielu dyskusjach i pracach dotyczących projektu reform i często zabierał głos na różne tematy w Izbie Lordów. Okazało się również, że nowy król, William IV, stale potrzebował go w pałacu Buckingham. I chociaż takie wymagania bardzo mu pochlebiały, nie miał czasu dla siebie. Dlatego czuł się niemal jak na wagarach, gdy wymknął się z Londynu do Elvin na kilkudniowe polowanie przed zakończeniem sezonu. Właśnie cieszył się jedną z najwspanialszych przejażdżek, gdy mijając jakiś wyboisty odcinek drogi, jego koń wpadł na kamień. Ponieważ jechał na jednym ze swych najlepszych koni, wycofał się z polowania, aby usunąć kamień spod podkowy albo wezwać kogoś do pomocy. Gdy podniósł końskie kopyto okazało się, że nie

wyjmie kamienia nie zrywając podkowy. Zorientował się, że jest na terenie własnej, bardzo rozległej posiadłości i blisko ma do majątku Manor. Zarządca mówił mu w zeszłym roku, iż wszedł on w posiadanie sir Roberta Chesneya. Powinien wezwać nowego dzierżawcę, ale szczerze mówiąc zapomniał o przybyciu sir Roberta, a gdy przyjechał do Elvin zajął się przyjęciami i nie miał czasu na grzecznościowe spotkania z mieszkańcami.

- Teraz muszę za to przeprosić - powiedział do siebie prowadząc konia za uzdę.

Skierował się do stajni, odnalazł starego sługę i wyjaśnił mu, co się stało. Służący poznał go od razu.

- Proszę się nie martwić, milordzie. Zaraz usunę kamień i będzie mógł pan wrócić na polowanie. Słyszę ich nawet teraz, są w Chandle's Wood, ale wątpię czy coś tam znajdą!

- Wydaje mi się, że tam lis ma norę - odparł markiz.

- Jeśli tak, to głęboko będą musieli kopać! - uśmiechnął się sługa.

Mówiąc to, wziął konia i poprowadził do pustego boksu.

- Gdy ty będziesz zajęty - powiedział markiz - ja złożę wizytę sir Robertowi. Jest w domu?

- Sir Robert zmarł w zeszłym tygodniu, milordzie! - odpowiedział służący zmienionym głosem.

- Nie wiedziałem! - wykrzyknął markiz. Od razu też pomyślał o zaniedbaniu ze strony

zarządcy, że go o tym nie powiadomił. Należało wysłać wdowie po sir Robercie list kondolencyjny i wieniec na pogrzeb.

- Jaśnie pani na pewno chciałaby poznać pana, milordzie - powiedział sługa.

Markiz podszedł do frontowych drzwi, z zakłopotaniem myśląc o złożeniu lady Chesney wyrazów współczucia. Lokaj poprowadził go korytarzem, do pokoju, który markiz

zapamiętał jako piękny salonik położony na tyłach domu, z widokiem na ogród różany. Równie piękna była jego lokatorka, wyraźnie zaskoczona przybyciem markiza. Podobał mu się spokojny, ułożony ton, jakim go przywitała. W czarnej sukni, podkreślającej jej nieskazitelną cerę, ze złotymi refleksami we włosach i błękitnymi oczami, lady Chesney była bardzo intrygująca. Nalegała, by podać coś orzeźwiającego. Markiz usiadł naprzeciw niej i powiedział:

- Dopiero od służącego dowiedziałem się o śmierci pani męża. Nie mogę wyrazić jak bardzo mi przykro, że nie przesłałem w porę kondolencji i robię to dopiero teraz.

- To bardzo uprzejme z pana strony, milordzie - odparła lady Chesney. - Mój mąż chorował od kilku lat, a przyjechaliśmy tu, bo lekarz powiedział, że świeże wiejskie powietrze i cisza mogą mu pomóc. Przerwała, by po chwili dodać ukrywając szloch: - Niestety... pomyliliśmy się.

Taki był początek znajomości, która szybko przerodziła się w przyjaźń, a potem w miłość. Markiz opuszczając majątek nie mógł zapomnieć pary niebieskich oczu, które spoglądały na niego z zaciekawieniem i nieskrywanym podziwem. Wrócił następnego dnia z koszem egzotycznych owoców i kwiatów ze swych szklarni. Była wdzięczna, zachowywała się poprawnie i wyraziła chęć odwiedzenia Elvin, o którym tyle już słyszała. Markiz ochoczo zgodził się zostać przewodnikiem, aby być świadkiem jej radości podczas oglądania bogactw zgromadzonych przez jego przodków i podziwiania zmian wprowadzonych przez niego samego. To było sześć miesięcy przed tym, jak zostali kochankami. To osiągnięcie wymagało ogromnego zaangażowania, użycia całej potęgi jego perswazji i pomysłowości. Nie dlatego że go nie kochała: Powiedziała mu, że pokochała go od pierwszego wejrzenia i zawładnął jej sercem tak, iż było w nim miejsce tylko dla niego. Jednak obawiała się skandalu, który łatwo

zniszczyłby ich miłość. Wyjaśniła to w sposób, który trafił markizowi do przekonania.

- Jesteś taki wspaniały i przystojny, milordzie - powiedziała. - To oczywiste, iż pokocha cię każda napotkana kobieta. Świat jest pełen zawiści i nikt nie uwierzyłby, że jakakolwiek kobieta nie ulegnie twemu nieodpartemu urokowi.

- Co za komplement! - powiedział z uśmiechem markiz, ale cieszył się z tego, co usłyszał.

- Zrozum - mówiła dalej miękkiem poważnym tonem - nie mogę uwłaczyć pamięci mojego drogiego Roberta, wywołując skandal tak szybko po jego śmierci. Ty możesz wrócić do Londynu i zapomnieć o mnie, a ja muszę żyć w tym małym światku, gdzie ludzie plotkują nie mając nic lepszego do roboty.

- Naprawdę myślisz, że mógłbym o tobie zapomnieć? - zapytał markiz.

- Mam nadzieję, że nieprędko - odparła Sarah, - Ale ty jesteś ważną osobistością, poważaną w towarzystwie, a ja jestem tylko małą, uwielbiającą cię kobietką.

- Chciałem, żebyś czuła się szczęśliwa - odrzekł markiz. - Chcę ci udowodnić jak bardzo cię kocham. Ale, jak powiedziałaś, to niemożliwe, gdy otoczeni jesteśmy podejrzliwą służbą.

- Są dla mnie tacy dobrzy - odpowiedziała Sarah. - Troszczą się o mnie bardzo, lecz przeżyliby szok, gdyby dowiedzieli się, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń.

Sytuacja wydawała się beznadziejna, dopóki Sarah nie została zaproszona do swych przyjaciół w drugiej części hrabstwa, z którymi łączyły markiza drobne interesy. Choć nie było to proste, postarał się o zaproszenie dla siebie w tym samym czasie. Udawali, że nigdy wcześniej się nie spotkali. Na szczęście oprócz nich było wiele gości, a przypadkiem ich

sypialnie znajdowały się niedaleko siebie. Zakochany w kobiecie, którą uwodził przez sześć miesięcy, odczuwał radość zwycięzcy po wyczerpującej walce. Wierzył, że kocha Sarah jak nikogo dotąd. Musieli pomyśleć jak kontynuować romans, który dostarczył im tyle niezapomnianych przeżyć. Sarah odrzucała wszystkie jego propozycje i przez kolejny miesiąc czuł się jak przestępca próbujący zepsuć jej reputację.

- Jeśli nie możemy odwiedzać się nawzajem - pytał - to co mamy ze sobą zrobić?

Spojrzała na niego przez łzy i powiedziała łamiącym się głosem:

- Och, Boydonie, tak bardzo cię Kocham! Lecz...

Zawsze to „lecz”! - myślał ze zniecierpliwieniem markiz. Nagle przyszła mu do głowy myśl, która w zupełnie oczywisty sposób rozwiązywała ich problemy. Ożeni się z Sarah!

Zawsze wiedział, że wcześniej czy później będzie musiał się ożenić i spłodzić dziedzica, lecz nie było powodu do pośpiechu dopóki nie skończy trzydziestu lat, a to miało nastąpić dopiero za rok. Cieszył się więc wolnością, spoglądając na przyjaciół nieszczęśliwie pożenionych z kobietami nawet dość pociągającymi, lecz szybko nudzącymi się małżonkom, gdy przyjmowały funkcje reprezentacyjne.

- Elvington, małżeństwo to piekło! - powiedział mu zaledwie po trzech miesiącach małżeństwa lord Wickham.

- Ależ Charlotte jest taka piękna - odparł markiz.

- Też tak myślałem, póki nie zacząłem oglądać jej o poranku, gdy ma swoje kaprysy i wieczorami, gdy jest zmęczona. I powiem ci jeszcze coś - mówił dalej lord Wickham - to nie wygląd kobiety się liczy, ale jej inteligencja.

- Na moment zacisnął usta, by po chwili kontynuować: - Czy wyobrażasz sobie co to znaczy dokładnie wiedzieć, co kobieta powie, zanim otworzy usta, i to przez całą dobę? - Markiz nie odpowiedział, a jego przyjaciel dodał rozgoryczony: - Jesteś

jedyny z naszego towarzystwa, który miał dość rozumu, by się nie żenić. Żona George'a bierze laudanum, a Charles ożenił się z wiedźmą!

- Ja na pewno nie mam ochoty na kajdany! - powiedział stanowczo markiz, przekonując nie tyle przyjaciela, co samego siebie.

Jednak Sarah była inna i był pewien, że jest doskonałą kandydatką na żonę. Nie chciał ryzykować, żeby jej nie utracić. Patrzył teraz na Sarah zupełnie inaczej. Była nie tylko pociągającą kobietą, na widok której krew szybciej krążyła, a serce drżało, lecz także osobą godną zaufania. Musiała zająć miejsce jego matki, pani jego domu i być zaakceptowana przez pałac Buckingham. Oznaczało to coś innego niż za czasów ostatniej monarchii. Król Jerzy IV do ostatka lubił otaczać się ludźmi wyuzdanymi i dowcipnymi. Od kobiet w otoczeniu króla wymagano, by były pociągające i nie grzeszyły nadmiarem moralności. Dzisiaj pałac Buckingham żył w zupełnie innej atmosferze. Pod rządami królowej Adelajdy panowały tu powaga i pruderia. Nie ulegało wątpliwości, że ona i jej o wiele starszy mąż byli ze sobą bardzo szczęśliwi. W czasach młodości król był niezwykle żywotny i ojcował dzieciom aktorki, pani Jordan, pochodzących z nieprawego łoża. Teraz stał się tak poważny, że jeden z mężów stanu powiedział markizowi:

- Ilekroć wchodzę do pałacu, mam nieodparte wrażenie, że przybywam na spotkanie modlitewne!

Markiz roześmiał się, ale doskonale wiedział, że jeśli chce zachować bardzo odpowiadające mu stanowisko w sądzie, musi starannie ukrywać swe prywatne życie. Gdyby wokół jego żony wybuchł choćby najbliższy skandal, królowa Adelajda na pewno wykluczyłaby ją ze swego otoczenia. Wszystkie próby krytycznej oceny Sarah wypadły zadowalająco i markiz był przekonany, że jest dla niego

doskonałą partią. Choć zdenerwowany i sfrustrowany powstrzymywaniem pożądanym, podziwiał jej zasady i zgadzał się z nią, że naprawdę były niezbędne. Złagodniała nieco dopiero wtedy, gdy poprosił ją o rękę, a ona przyjęła jego oświadczenia jak spełnienie najskrytszych marzeń.

- Kocham cię! Jak mogę czekać całe miesiące, zanim będziesz moja? - pytał markiz.

- Ja też ciebie pragnę najdroższy mój - szeptała Sarah - mam pewien pomysł!

- Jaki?

- Moja pokojówka, pilnująca mnie jak wierny pies, wyjechała dzisiaj odwiedzić swą chorą matkę, a w domu zostało tylko stare, kompletnie głuche małżeństwo.

- To znaczy...? - zapytał markiz, choć dobrze zrozumiał, co miała na myśli.

- Jeśli przyjdiesz dziś wieczorem, kochany, nikt nie będzie wiedział o twojej obecności i zostanę w twych ramionach, do których tak tęsknię.

Markiz pocałował ją aż do utraty tchu i wtedy Sarah powiedziała:

- Przyjdź przez ogród. Możesz konia przywiązać do drzewa, a gdy służący pójda spać, ja otworzę ci balkon.

- Moja najdroższa! Moja kochana! - wykrzyknął markiz.

Gdy oficjalnie żegnał się z nią w obecności służącego, spojrzeli na siebie porozumiewawczo i już wiedział, że oboje będą liczyć godziny do najbliższego spotkania. Spędzili razem dwie szczęśliwe noce. Potem pokojówka wróciła, a markiz nie mógł znieść samotnych nocy w Elvin, więc powrócił do Londynu. Miał po temu też inne poważne powody, związane z polityką i planowanymi reformami. Mimo to nocami wciąż nie sypiał i jak uczeń skreślał w kalendarzu dni dzielące ich od zakończenia żałoby Sarah, gdy będą mogli się pobrać. Data ta wypadła trzeciego marca, lecz zgodzili się rozsądnie

poczekać jeszcze miesiąc. Dla markiza było to jak światło połyskujące w nocy. Kupił Sarah pierścionełk zaręczynowy i kilka sztuk biżuterii. Czekwały zamknięte w szufladzie do dnia, w którym oznajmi światu, że to ona zostanie jego żoną. Potem tęsknota stała się tak nieznośna, że postanowił wrócić do Elvin. Nawet jeśli nie spełnią się jego pragnienia i nie będzie mógł się z nią kochać, przynajmniej weźmie ją w ramiona, pocałuje i usłyszy jej miękki dźwięczny głos. Zastanawiał się, kiedy wyjechać, gdy przyszedł od niej list. Markizowi zadrżało serce.

- Nigdy nie byłem tak zakochany! - powiedział do siebie.

Otworzył list i przeczytał:

Hannah, moja pokojówka, dzisiaj rano otrzymała wiadomość o śmierci swej matki. Zaraz wyjeżdża na pogrzeb, co oznacza, najdroższy Boydonie, że nareszcie możemy być razem, do czego oboje tak bardzo tęsknimy.

Wiem, że tak jak ja liczysz godziny do wzniesienia się na skrzydłach rozkoszy!

Przyjdź jak zwykle przez ogród jutro o wpół do dziesiątej wieczorem. Służący wcześniej się kładą, będę na Ciebie czekać... czekać... i czekać, aż weźmiesz mnie w ramiona.

Kocham Cię! Sarah.

Markiz czytał list raz po raz, powtarzając, że żadna kobieta nie może być tak wspaniała, godna podziwu i tak doskonale pasująca do roli markizy Elvington.

- Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie! - powiedział głośno. - Już jutro ją zobaczę!

I jeszcze raz przeczytał list. Napisała, że jej pokojówka Hannah wyjeżdża dzisiaj, więc po co ma czekać do jutra i stracić dzisiejszą noc? Popatrzył na zegarek. Wstał wcześniej, a list przyniesiono razem ze śniadaniem. Obliczył, że jeśli wyjedzie z Londynu za godzinę, dotrze do Elvington około ósmej. Wieczorem przejedzie przez park i pola i będzie u

Sarah około dziesiątej. Nie zastanie otwartego okna, ale służący pójdą spać i jeśli Sarah wejdzie do sypialni, nie budząc nikogo, łatwo zwróci jej uwagę.

- Zrobię jej niespodziankę! - powiedział z uśmiechem, wyobrażając sobie radość i podniecenie wywołane jego niespodziewanym przybyciem. Poleciał przygotować powóz z czwórką najszybszych koni i wkrótce wyruszył do Elvin. Nie zaskoczył służących, jak zwykle przygotowanych na jego przyjazd. Szef kuchni przyrządził doskonały posiłek, chociaż nikt nie powiadomił go wcześniej o jego przybyciu. Markiz wziął kąpiel, przebrał się i zjadł wspaniałą kolację. Dokładnie o dziewiątej czterdzieści pięć poszedł obejrzeć swe najszybsze konie. Często jeździł po kolacji, więc służba nie powinna nic podejrzewać. Byłby niezadowolony, gdyby ktokolwiek w tym domu wiedział o jego związku z wdową mieszkającą w sąsiedztwie.

- Mogę tylko powiedzieć - zwrócił się jeden odźwierny do drugiego, gdy markiz odjechał - że ona ma dużo szczęścia. W sportowym świecie nikt nie może się z równać z jaśnie panem.

- Masz rację - odparł jego towarzysz - a i ona musi mu pasować. Ja sam nigdy nie zalecałbym się do żadnej wdowy.

- Dlaczego nie? - dopytywał się jego przyjaciel.

- Lubię być pierwszy! - padła odpowiedź. - Pierwszy do zwycięstwa i pierwszy do łóżka!

Roześmiali się. Obaj mieli dużo szczęścia, że jadący przez park markiz nie miał pojęcia o czym rozmawia jego służba. Gdy znalazł się poza zasięgiem ich wzroku, puścił się galopem. Zdawało mu się, że tętent końskich kopyt powtarza wciąż te dwa słowa, które wryły się w jego umyśle: - Kocham cię! Kocham cię! Kocham cię! Na skraju parku przejechał przez las, potem przemierzył kilka pól, aż wreszcie ujrzał przed sobą krzewy otaczające ogrody Manor. Przywiązał i spętał konia, po czym bez wahania ruszył krętą

ścieżką kończącą się przy ogródku różanym, pośrodku którego stał zegar słoneczny. To wtedy zauważył zapalone światła nie tylko w sypialni Sarah, ale i w salonie. Zamarł. Nagle zrozumiał, że być może Sarah ma dzisiaj gości i dlatego umówiła się z nim jutro. Potem tłumaczył sobie, że nie przypuszczała, aby list dotarł do niego tak szybko. Nie wiedziała też, czy może natychmiast opuścić Londyn. Zawsze starannie planował swe rozrywki i dzisiaj był jeden z nielicznych poranków, kiedy musiał listownie przeprosić co najmniej czworo swoich przyjaciół za niestawienie się na wcześniej umówione spotkania.

- Cóż, powiem jej, że powinna docenić, jak bardzo ją kocham - powiedział do siebie markiz.

Teraz, patrząc na światła w oknach, wahał się. Nie powinien wejść niespodziewane w chwili, gdy Sarah podejmowała swych sąsiadów. Wtem dotarło do niego, że poza światłami nie było żadnych oznak przyjmowania gości. Mimo że uważnie nasłuchiwał, nie doszły go odgłosy rozmowy ani śmiechu.

- Być może jeszcze się nie położyła - tłumaczył sobie. - Może czyta albo haftuje w salonie i otworzy mi, jeśli zapukam do okna.

Postąpił krok wychodząc z cienia rododendronów i wtedy dostrzegł, że ktoś stoi na balkonie. - Czeka na mnie - pomyślał. Uznał, że są tak do siebie podobni, iż instynktownie przeczuła jego przybycie i otworzyła okno, aby go powitać. Uśmiechnął się, zrobił kolejny krok i ujrzał, że Sarah nie była sama! Obok niej pojawił się mężczyzna i markiz pośpiesznie skrył się w cieniu. Sarah odwróciła twarz ku temu człowiekowi i chwilę później była w jego ramionach, a on ją całował! Początkowo nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zdawało mu się, że to wytwór jego wyobraźni albo jakiś senny koszmar. Po chwili księżyc wyszedł zza chmur i

zobaczył to jeszcze wyraźniej. Sarah była w dobrze mu znanej błękitnej koszuli. Ubrana w nią żegnała go ostatni raz stojąc w oknie, tak jak teraz z całującym ją mężczyzną.

Markiz go poznał. Był to przystojny młodszy syn państwa Peer, którzy sprawiali same kłopoty, odkąd odziedziczył Elvin. Ich posiadłości sąsiadowały ze sobą i lord Harrop zawsze miał do markiza jakieś pretensje. Większość z nich spowodowana była brakiem pieniędzy, więc lord Harrop postanowił wyegzekwować od bogatego sąsiada wszelką pomoc dla swej posiadłości, jaką tylko mógł uzyskać. Markiz doskonale wiedział, że czterech synów lorda Harropa zazdrościło mu koni używanych do polowań i wystawianych na wyścigach, na których niezmiennie wygrywał. Pomyślał, że Anthony z zemsty zabierał mu jedyną kobietę, z którą chciał się ożenić. Obserwując Anthony'ego całującego Sarah, markiz poczuł uderzenie krwi do głowy. Chciał z nim walczyć, powalić go, a nawet zabić. Pohamował się nie tylko dzięki umiejętności panowania nad sobą, lecz przede wszystkim kierowany dumą. Winni byli obydwój, nie tylko Sarah, ale i młodszy od niego mężczyzna, w którym nie dostrzegał rywala. Oboje przyprawili mu rogi. Walcząc ze swymi myślami, markiz dostrzegł, że Anthony idzie w jego stronę i za kilka sekund staną twarzą w twarz. Zaciśnął pięści. Gdy wahał się, co powinien zrobić, usłyszał miękki, słodki głos Sarah:

- Anthony, kochanie, muszę ci jeszcze coś powiedzieć.

Jego rywal odwrócił się i wtedy markiz zdecydował się uciekać. Wycofał się tą samą drogą, którą przyszedł, i dosiadł swego konia. Po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zobaczył stojącego przy zaroślach konia Anthony'ego. Jadąc tutaj nie spostrzegł go w ciemnościach, gdyż księżyc skryty był za chmurami. Teraz widział go wyraźnie. Nie tracąc czasu odjechał, mając nadzieję, że Anthony go nie zauważy.

Dopiero gdy dotarł do domu i znalazł się w swojej sypialni, zrozumiał, co się stało. Z każdą minutą czuł narastającą złość. Bez słowa pozwolił lokajowi pomóc w rozbieraniu, a gdy został sam, zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Pojął, że nie może pozostać w Anglii, aby nie spotkać się z Sarah, słuchać jej wyjaśnień i stawić czoło scenie, jaka by się rozegrała. Musi minąć trochę czasu, zanim opanuje się na tyle, żeby myśleć o tym obojętnie. W tej chwili czuł się skrzywdzony, zraniony i zazdrosny, przychodziły mu do głowy mordercze myśli, a jednocześnie wiedział, że będzie coraz bardziej nieszczęśliwy, gdyż stracił coś najcenniejszego, co posiadał do tej pory. Tysiące razy zastanawiał się, jak to się stało, że jak jakiś żółtodziób dał się okpić tak wyrachowanej kobiecie. Gdy tylko się poznali, nie miał wątpliwości, że Sarah chciała za niego wyjść. Teraz widział to wyraźnie, że grając rolę „niezdobytej twierdzy” podniecała go i nakłoniła do złożenia takiej propozycji, o jaką jej chodziło.

Zazwyczaj romanse markiza nie trwały długo. Kiedy kobieta mu ulegała, ich kolejne noce stawały się coraz bardziej jednostajne i zaczynał zastanawiać się nad uwiedzeniem kolejnej piękności, mając nadzieję, że będzie ona bardziej oryginalna i na dłużej przykuje jego uwagę. Sarah była zbyt mądra, by dopuścić do takich rozważań. Doprowadzała go do szaleństwa, raz obdarzając względami po długich zalotach, to znów odpychając go od siebie. Markiz zacisnął zęby, myśląc o tym, że wpadł w pułapkę, jaką kobiety zastawiają na mężczyzn od początku świata. A on nie miał dość inteligencji, by to w porę zauważyć. Powiedział sobie, że nie może spojrzeć Sarah w oczy, bo mógł ją jedynie obwiniać o to, że była bardziej wyrachowana niż on. - Muszę wyjechać - pomyślał i przypomniał sobie o jachcie, który zawsze gotowy do drogi czekał na niego w Dover. Pływał na nim

tylko raz przed trzema miesiącami, odbywając krótką podróż przez kanał z przyjacielem, który chciał przemycić do Anglii paliwo. Jacht czekał, by na jego rozkaz wypłynąć na morze. Wstał o świcie i opuścił Elvin, gdy gwiazdy jeszcze lśniły na niebie.

Markiz słyszał uderzenia fal o burty jachtu, trzeszczenie drewnianych bali i tarcie lin. Niemal czuł, jak napinają się żagle na silnym wietrze.

- Przynajmniej nic nas nie powstrzyma - powiedział do siebie.

Wydał kapitanowi odpowiednie instrukcje, więc powinni dotrzeć do Calais mniej więcej za pięć godzin, a wtedy pozbędzie się swojej pasażerki i będzie mógł popłynąć, gdzie go oczy poniosą. Zastanawiał się, czy Ola dotrze sama do Paryża, ale stwierdził, że to nie jego sprawa. To przez brandy, którą wypił zeszłej nocy, zdecydował się jej pomóc w tak tragicznej sytuacji, o ile jej opowieść była prawdziwa. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna, który spowodował wypadek powożąc w gęstej mgle, był starszym człowiekiem, a ona była bardzo młoda. Lecz mogła być zwodnicą i kłamczuchą i markiz zaraz pomyślał, że wszystkie kobiety są takie same. I niech je diabli!

- Gdy wrócę do Anglii, nie będzie już w moim życiu żadnych „Sarah” - powiedział głośno - i żadnych tanich obietnic.

Niemal słyszał, jak mówi Sarah o swej miłości, a teraz na samą myśl o tym, czerwienił się zakłopotany. Mimo że szczerze składała miłosne obietnice, jak to zwykle robią kochankowie, cały czas drwiła z niego. Bez wątpienia zakpiła z niego dla mężczyzny, którego naprawdę kochała, ubogiego Anthony'ego. Był jej kochankiem, gdy sfrustrowany markiz samotnie sypiał w Elvin, żeby nie psuć „reputacji” Sarah. - Jej reputacja!

Markiz roześmiał się gorzko. Powtarzał te słowa jadąc drogą z Elvin do Dover. W pierwszym zajeździe zmienił konie, później zrobił to jeszcze raz, żeby przed zmierzchem być w Dover. Trafili jednak na gęstą mgłę i tylko dlatego że wybrał najlepszą drogę, dotarli wreszcie na jacht. Markiz powiadomił kapitana, że chce natychmiast wypłynąć.

- Przykro mi, milordzie, ale to niemożliwe! - odpowiedział kapitan.

- Ze względu na mgłę?

- Żaden statek nie wypłynie w taką pogodę. Nie ma dość wiatru, żeby poruszyć choćby chusteczkę!

- W takim razie wypłyniemy, gdy tylko to będzie możliwe.

- Dokąd, milordzie?

Nad tym markiz się nie zastanawiał, więc odparł:

- Później zdecyduję.

- Oczywiście, milordzie. Mam nadzieję, że mamy wszystko, czego pan będzie potrzebował za granicą. Wczoraj wzięliśmy świeże zapasy wody.

Markiz przytaknął, choć wcale nie interesowały go szczegóły wyposażenia jachtu. Traktował go jako pojazd albo latający dywan, którym miał opuścić nie tylko Sarah, ale w ogóle z Anglię. Nie potrafił zostać sam ze swoimi myślami, więc poszedł przez mgłę do Trzech Dzwonów. Teraz żałował, że pod osłoną mgły nie uciekł gdzie indziej. Prześladowała go myśl, że popełnił kolejny błąd, godząc się na zabranie tej rudowłosej kobiety - jak też ona ma na imię? Ola! - Na zabranie Oli do Francji. Gdyby macocha znalazła ją w towarzystwie markiza Elvingtona zwykły odruch litości zmieniono by w skandal.

- I znowu zachowałem się jak głupiec! - powiedział markiz. - Do diabła, co się ze mną dzieje? Powinienem ją zostawić w zajeździe. - Miłosierny samarytanin, jak go

nazwała, może zostać oskarżony o osobiste zainteresowanie dziewczyną, a jeśli jej opiekunka choć w części jest tak ambitna jak Sarah, jedyną formą zadośćuczynienia będzie ślub. - Niech mnie diabli, jeśli to zrobię! - ze złością powiedział markiz.

Potem pomyślał, że niepotrzebnie dręczy się takimi rozważaniami. Zrobi to, o co go poprosiła, zawiezie ją do Calais i zaraz o niej zapomni. Zanim zdąży popaść w tarapaty, już znajdzie się w innej części świata, choć jeszcze nie zdecydował dokąd popłynie. - Wydaje się, że na początek najlepsze byłoby Morze Śródziemne - pomyślał. - Pamiętał jak Smollet zachwycał się Niceą, a teraz powinna być tam słoneczna wiosenna pogoda. - Może być Nicea albo jakiegokolwiek inne miejsce - powiedział sobie. - Błękitne morze skojarzyło mu się z oczami Sarah. - Opętała mnie, ot co! - wykrzyknął.

Potem przypomniał sobie scenę na balkonie, jak opłótła ramionami szyję Anthony'ego i odwróciła ku niemu twarz dobrze znanym ruchem, który uważał za przeznaczony wyłącznie dla siebie. Czy nie powtarzała wciąż, że go kocha i że nigdy nikogo do tej pory tak nie kochała? Wzrok przesłoniła mu czerwona płachta wściekłości i znowu zacisnął pięści.

- Niech ją diabli! Niech ją diabli porwą! - powiedział głośno, a ton jego głosu zlał się ze świstem wiatru, który z nagłą siłą uderzył w żagle aż statek przechylił się na prawą burzę.

- To sztorm - powiedział sobie markiz.

Rozdział 3

Ola była tak zmęczona, że nie słyszała kiedy podniesiono kotwicę i nie wiedziała, że statek wypłynął z portu. Spała głębokim snem, póki nie obudziło jej pukanie stewarda. Wszedł niepewnym krokiem i postawił przy jej łóżku zakryty szczelnie kubek, jakich używano na statkach przy silnym wietrze.

- To sztorm, panienko - powiedział. - Przyniosłem trochę kawy, a jeśli będzie pani chciała zjeść bardziej pożywne śniadanie, szef kuchni zrobi co w jego mocy, chociaż w tej chwili trudno jest pracować w kambuzie.

- Wystarczy mi kawa - odparła Ola. - Bardzo dziękuję.

- Powinienem z panią zostać, jeśli mogę coś doradzić - odezwał się steward. - „Szczyry lądowe”, jak my ich nazywamy, łatwo łamią sobie w taką pogodę nogi.

Ola wiedziała, że był bardzo taktowny, nie wspominając o chorobie morskiej. Na pewno był dobrym żeglarzem. Jej ojciec kochał morze i gdy była małym dzieckiem często wypływali łódką przy najbardziej wietrznej pogodzie, którą ona doskonale znosiła. Po wyjściu stewarda pomyślała, że powinna była zapytać, o której dotrą do Calais. Miała wrażenie, że musi opuścić jacht zaraz po przybiciu do brzegu, żeby nie rozzłościć markiza. Ubiegłej nocy, choć nie powiedział tego głośno, czuła że denerwuje go, choć z dobrego serca zobowiązał się pomóc jej w przedostaniu się przez kanał. Po wyjściu na jacht kazał stewardowi zaprowadzić ją do kabiny i albo wypełnił rolę dobrego samarytanina, albo zostawił ją własnemu losowi.

Zadrżała na myśl jak potworne byłoby jej życie, gdyby poślubiła Gilesa. Nigdy nie traktowała go jak mężczyznę, aż do chwili wyjawienia zamiarów poślubienia jej z powodu majątku. - Niedobrze jest mieć tyle pieniędzy - pomyślała. - Gdyby rodzice mieli syna, nie znalazłby się w takich

tarapatach. Równocześnie wiedziała, że z synem czy bez, ojciec nie był w stanie odejść od kobiety, która postanowiła go poślubić.

Ola była w szkole we Francji, gdy zmarła jej matka. Nie zdążono by jej przywieźć na pogrzeb i dlatego ojciec nie posłał po nią ani nie napisał co się stało, tylko przyjechał, żeby delikatnie przekazać jej tę wiadomość. Oboje opłakiwali kobietę, którą kochali. Potem ojciec wrócił do Anglii i według Oli w tym tkwił błąd. Powinna była pojechać, by zadbać o niego, lecz nie chcieli przerywać jej edukacji z powodu samotności ojca. Miała wówczas siedemnaście lat; we Francji została jeszcze dwa lata, tak jak zaplanowała matka. Zrozpaczony ojciec nie miał nikogo, z kim mógłby rozmawiać o swojej ukochanej żonie.

Przyszła macocha Oli była ich sąsiadką. Wkradła się w łaski ojca tak skutecznie, że wkrótce nie umiał sobie bez niej poradzić. Pobrali się dwa dni przed powrotem Oli. Gdy poznała swoją macochę zrozumiała, że zależy jej przede wszystkim na pozycji towarzyskiej i na pieniądzach świeżo poślubionego męża. Miała jakby dwie twarze; jedną dla męża, drugą dla jego córki. Oli wydawało się, że kiedyś już ją spotkała, lecz nie potrafiła sobie przypomnieć gdzie i kiedy. Obecna lady Milford z pewnością nie przywiązywała wielkiej wagi do poznania małej córki sąsiada. Co innego teraz, gdy została jej przybraną córką, obdarzoną niezwykłą urodą. Gdy lord Milford zmarł, Ola odziedziczyła majątek wielokrotnie przekraczający to, co pozostało wdowie. Zazdrość o urodę Oli i pożądanie pieniędzy przeobraziły się u lady Milford w nienawiść, która eksplodowała jak bomba.

Ola bardzo ogólnikowo opisała markizowi przez co przeszła. Nie umiała opowiedzieć o koszmarze, jaki przeżyła pod stałą presją psychiczną, nie mówiąc już o strachu przed

karami fizycznymi. Bała się, że lady Milford spełni swe groźby i oszpeci jej twarz.

Doskonale wiedziała, że to nie będzie proste, ale nie mogła dłużej być w domu, w którym czuła się więźniem. Giles okazał się sprzedajnym Judaszem, gdy najmniej się tego spodziewała. To był cios, który mniej odporną osobę załamałby całkowicie. Ola uznała za cud spotkanie z markizem i bezpieczne schronienie na jego jachcie, choć nie wiedziała jakie trudności są jeszcze przed nią.

Po wypiciu kawy oparła głowę na poduszkach i starała się zebrać myśli. Podróżowanie dyliżansem było powolne i niebezpieczne. Można w nich było spotkać różnych, nieraz bardzo ordynarnych ludzi. Najrozsądniej byłoby pojechać do Paryża karetką pocztową. Jednak to było zbyt kosztowne, nie starczyłoby jej pieniędzy, chyba że sprzedałaby część biżuterii. - Muszę pomówić o tym z markizem - pomyślała. Zaraz jednak uznała za krępujące rozmawianie o pieniądzach z mężczyzną, który pomagał jej wbrew swej woli i chciałby się jej jak najszybciej pozbyć.

- W Calais musi być jakiś dobry jubiler - powiedziała do siebie. - Zapytam ile mi zapłaci za jedną z mniejszych diamentowych brosz mamy. W klasztorze resztę biżuterii oddam matce przełożonej, żeby schowała ją w bezpiecznym miejscu, na wypadek gdybym potrzebowała więcej pieniędzy.

Wtedy przyszła jej do głowy niespodziewana myśl i popatrzyła wokół siebie zaniepokojonym wzrokiem.

Minęło już południe, gdy markiz zszedł z pokładu. Przy schodach czekał lokaj, by pomóc mu zdjąć płaszcz przeciwdeszczowy.

- Mam nadzieję, że pan nie zmókł? - zapytał troskliwie.

- Nie, Gibsonie - odparł markiz. - To niesamowite doświadczenie patrzeć jak Wilk Morski sunie mając wiatr za rufą.

- To prawda, milordzie - odpowiedział Gibson. - Zawsze twierdziłem, że jego lordowska mość miał rację wybierając ten rodzaj statku.

- Ja zawsze mam rację, Gibsonie! - odparł kpiąco markiz z głębokim przekonaniem, że to rzeczywiście prawda.

Zanim rozpoczęto budowę jachtu, zadano sobie wiele trudu, aby znaleźć budowniczego, który zaprojektowałby dokładnie taki statek, o jaki chodziło markizowi. Przed laty oglądał sztukę z uczestniczącymi w niej flotyllami okrętów i przyrzekł sobie wybudować na ich wzór własny jacht. Gdy podrośł, zajął się pływaniem na szkunerach, których nazwy zawsze rozpoczynały się od słowa „kliper”. Konstrukcja ich kadłubów stała się wzorem dla słynnych kliperów z żaglami rozpostartymi na poziomo zawieszonych rejach, które najpierw budowali Amerykanie, a wkrótce po nich Anglicy. Markiz opracował własny model. Był to szkuner zwrotny jak fregata, lecz nie wymagający tak licznej załogi. Gdy Wilk Morski został wreszcie zwodowany, wywołał sensację wśród entuzjastów białej floty, a markiz zbierał gratulacje nie tylko od przyjaciół, ale i od konstruktorów okrętów.

Dzisiaj jednak Wilk Morski pierwszy raz pływał po tak wzburzonym morzu. Okazało się, że wszystkie nowoczesne rozwiązania, które uznawano za rewolucyjne, zdały egzamin. Z pewnością człowieka przywykłego do przebywania na morzu, markiz wszedł do salonu.

- Powiedz stewardowi, że mam ochotę na porządny posiłek. Jestem głodny! - powiedział.

W tej chwili zauważył, że nie jest sam. W salonie była kobieta, o której obecności zdążył zapomnieć przez ostatnie dwie godziny.

- Dzień dobry - powiedziała Ola.

- Dzień dobry... Olu! - odparł markiz, przypominając sobie po chwili wahania jej imię. - Usiadł na krześle niedaleko

niej i zapytał: - Dobrze się pani czuje? Nie cierpi pani na chorobę morską?

- Ani trochę - odparła Ola - i chciałabym za pańskim pozwoleniem wyjść po lunchu na pokład. Jeszcze nigdy nie byłam na statku, który płynąłby tak szybko jak ten.

- Lubi pani morze?

- Uwielbiam! - odparła z prostotą Ola.

- Miło mi to słyszeć - powiedział markiz - bo mam dla pani nie najlepsze wieści. - Ola spojrzała na niego wyczekująco, a on ciągnął dalej: - Zeszłej nocy poleciłem kapitanowi płynąć do Calais, ale z północnego wschodu wieje silny wiatr, uniemożliwiający przybicie do wybrzeży Francji. Pozostaje nam tylko uciekać przed nim do Kanału Angielskiego.

Markiz nie przewidział reakcji Oli na tę wiadomość. Błyszczące zielone oczy i uśmiech goszczący na jej ustach potwierdzały przypuszczenia o nieproszonym gościu, który nie ma ochoty uwolnić się spod jego opiekuńczych skrzydeł. Jakby czytając w jego myślach, Ola powiedziała:

- Był pan tak miły zabierając mnie ze sobą do Francji. Proszę się nie złościć, gdy cieszę się, iż nie będę musiała opuścić tego wspaniałego jachtu tak szybko jak zamierzałam.

Markiz nie pamiętał dokładnie jak to się stało, ale gdy steward przyniósł posiłek, on opowiadał Oli o swym jachcie i kłopotach z wybudowaniem go według własnego pomysłu.

- Walczyłem o każdą piędź ziemi, a raczej o każdą piędź jachtu! - mówił. - I dopiero gdy stanął gotowy, robotnicy przestali narzekać na moją trudną do wykonania niepraktyczną konstrukcję, na to, że zatonie albo rozsypie się przy pierwszym silniejszym wietrze.

- To dobrze, że tak świetnie sobie radzi - zaśmiała się Ola.

- Jest pani zupełnie bezpieczna - odrzekł markiz. - To najbardziej morski z morskich statków. Mogę postawić na

niego moją reputację i cały majątek! - Podczas lunchu cały czas mówili o statkach, a zwłaszcza o Wilku Morskim i dopiero gdy skończyli, rzekł: - Pomyślałem, że jeśli wiatr się zmieni i zdołamy dotrzeć do francuskiego wybrzeża, a najprawdopodobniej będzie to miejsce w górę od Le Havre, zawiozę panią aż do Bordeaux.

- Popłyniemy przez Zatokę Biskajską? - zaciekała się Ola.

- Płynę na Morze Śródziemne - odparł markiz. - Być może zawinę do Nicei.

Mówił to jakby do siebie, ale gdy zobaczył wyraz twarzy Oli, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nie miał zamiaru zatrzymać jej na pokładzie ani minuty dłużej niż to było konieczne.

- W Bordeaux będzie doskonale - odparła - jeśli... dotrzemy do Le Havre.

Markiz zauważył różnicę pomiędzy jej odpowiedzią a wyrazem oczu. - W ogóle nie powinienem był jej zabierać - pomyślał. Przypomniał sobie Sarah i sposób w jaki nakłaniała go do zrobienia tego, na co nie miał ochoty, i znowu ogarnęła go nienawiść do kobiet.

- Zapewniam panią, że mój kapitan zrobi wszystko, by dotrzeć do Le Havre - powiedział ostrym tonem - a pani nie powinna wychodzić na pokład. Jest bardzo zimno i łatwo się przeziębic.

Nie patrząc więcej na Olę, podniósł się i wyszedł z salonu. Westchnęła cicho. Gdyby próbowała się z nim sprzeczać, tylko by go rozzłościła. - Ciekawe, co go tak zdenerwowało? - zastanawiała się i od razu zrozumiała, że w grę wchodzi kobieta.

Markiz był przystojny i na pewno bogaty. Wydawało się mało prawdopodobne, by jakakolwiek kobieta, której okazał zainteresowanie, nie rzuciła mu się w ramiona. I chociaż Ola

nie mogła sobie wyobrazić tej kobiety, być może markiz pragnął kogoś nieosiągalnego.

Skoro nie mogła wyjść na pokład, postanowiła przejrzeć książki stojące na półce w kącie salonu. Zdziwiła ją duża liczba książek na jachcie, ponieważ jej ojciec w czasie żeglowania był zbyt pochłonięty pracami na pokładzie, żeby znaleźć czas na lekturę. Markiz różnił się od swoich rówieśników zaliczanych do śmietanki towarzyskiej Londynu.

Wiele słyszała o ich hulaszczym życiu, więc wyobrażała sobie, że spędzają je na poszukiwaniu przyjemności i zabawy. Potem przypomniała sobie raporty parlamentarne oraz sportowe strony magazynów, gdzie często wymieniano jego nazwisko. - Musi mieć wiele zainteresowań - pomyślała i postanowiła porozmawiać z nim o tym. Myśl o opuszczeniu jachtu przywołała wszystkie problemy i rozterki dręczące ją przedtem w kabinie.

- Poradzę sobie, oczywiście, że sobie poradzę - powiedziała do siebie. - Przecież nie pierwszy raz znajdę się za granicą, chociaż... nigdy nie byłam tam sama.

Gdy rodzice odwozili ją do klasztoru, po drodze zatrzymywali się w zamkach swoich przyjaciół i w ten sposób podróż do szkoły zamieniała się w niezapomnianą przygodę. W czasie powrotu do Anglii z dwiema innymi dziewczętami, opiekowały się nimi dwie zakonnice i kurier troszczący się o ich bagaże i zakwaterowanie. - Teraz będę sama - pomyślała i nie potrafiła zapanować nad ogarniającą ją obawą. Najmądrzej byłoby wynająć karetkę pocztową, ale po drodze trzeba będzie zatrzymywać się w gospodach i wszyscy będą ze zdziwieniem przyglądać się samotnie podróżującej młodej damie.

Znów ogarnęły ją smutne wspomnienia. Wracając do Anglii pod opieką sióstr, zatrzymały się w gospodzie przy głównej drodze z Paryża do Calais. Była mała i niezbyt przytulna, ale według zakonnice najlepsza, jaką zdołano

znaleźć. Okazało się, że wolny jest tylko jeden mały pokój. Gdy kurier próbował załatwić tę sprawę z właścicielem gospody, do rozmowy włączyła się kobieta, która wzbudziła zainteresowanie Oli. Była Francuzką o niezwykle pięknej, lecz nieco dziwnej twarzy. Do tej pory Ola nie widziała nikogo, kto używałby tyłu kosmetyków. Rzęsy, usta i policzki ociekały wprost tuszem i szminką. Za to stroje nosiła bardzo kosztowne i eleganckie. Wyglądała w nich tak pięknie, że Ola nie potrafiła zrozumieć dlaczego żona właściciela zapytała ją twardo:

- Jest pani sama, madame?

- Ja tylko pytam o wolny pokój i to jest odpowiedź na pani pytanie - odparła dama.

- Nie wynajmujemy pokoi samotnie podróżującym kobietom - wycedziła przez zaciśnięte zęby żona właściciela. - Taki hotel, jakiego szukasz, znajdziesz dalej na tej ulicy!

Mówiła tak ordynarnym, bezkompromisowym tonem, że Ola bała się, iż dama oskarży ją o impertynencję. Ku jej zaskoczeniu ona tylko wzruszyła ramionami i wyszła z hotelu. Ola zastanawiała się, czy jej też odmówią pokoju i podobnie potraktują. Westchnęła cicho, a potem powiedziała sobie z nadzieją, że na pewno są hotele, które przyjmują samotne kobiety i może jest w nich spokojniej i mniej hałaśliwie. Droga do Paryża wydawała jej się teraz znacznie trudniejsza niż początkowo. Musiała rozważyć tyle spraw, że w końcu zasnęła, zastanawiając się nad swymi problemami.

Markiz już ponad dwie godziny przyglądał się jak jego jacht pokonuje fale. Kiedy zszedł pod pokład, dowiedział się od kapitana, że nie zdołają zawinąć do Le Havre.

- Milordzie, mogę tylko zasugerować - powiedział - abyśmy wrócili, gdy wiatr nieco ucichnie. Lecz to może potrwać, bo o tej porze roku nikt nie wie, kiedy zmieni się pogoda.

- Zrobimy tak, jak proponowałeś, popłyniemy do Bordeaux - odparł markiz. - Panna Milford, która jest moim gościem, na pewno bez trudu dotrze stamtąd do Paryża.

- Czy ta młoda dama podróżuje sama? - zapytał ze zdziwieniem kapitan.

Markiz był wyraźnie niezadowolony z tego pytania i odszedł nie udzielając kapitanowi odpowiedzi. - Przywiozę ją do Francji, tak jak chciała - powiedział do siebie - i w żadnym razie nie pozwolę, by obciążyła mnie odpowiedzialnością za swój los!

Pamiętał jak Sarah wzbudziła jego sympatię swoją bezbronnością po stracie męża, który ją chronił i dbał o nią. Gorycz zatruwała mu krew jak trucizna, gdy pomyślał, że była to gra mająca podsycić jego siłę i opiekuńczość. Mógł przytoczyć wszystkie sprawy, o których mówiła, a on dawał na nie jednoznaczne odpowiedzi! Wyraźnie widział jej ufne spojrzenie, gdy opowiadała o swej bezradności, strachu, niepokoju i zmartwieniach. Oczywista była jego odpowiedź, że on się nią zaopiekuje!

- Głupiec! Głupiec! - powiedział do siebie, a wiatr powtarzał te słowa niczym echo. - To już się nigdy nie zdarzy - przysiągł sobie. - Schodząc po schodach, zastanawiał się jak powie Oli, że po przycumowaniu w Bordeaux skończy się jego odpowiedzialność za jej los. - Jakoś dotrze do Paryża albo gdzie będzie chciała, a mnie nic do tego. Na pewno znajdzie się wielu innych mężczyzn, którzy jej pomogą. Zastanawiał się ilu mężczyzn, poza Anthonym, było w życiu Sarah. Nie miał podstaw sądzić, że był jedyny, ale na pewno miała innych jeszcze przed śmiercią męża! Mężczyźni aż nazbyt chętnie pomagali kobiecie błagającej, wpatrzonyj w nich oczami błękitnymi jak letnie niebo. Teraz oczy te były ciemne i podstępne jak sam szatan.

Markiz wszedł do salonu z twardym spojrzeniem i zaciśniętymi ustami. Przez moment wydawało mu się, że Ola wróciła do swojej kabiny, dopiero po chwili zauważył, że spała skulona na sofie. Zaprojektował wystrój salonu w kolorze bladej zieleni, uzupełniającej się z barwą morza. Była to nowość, ponieważ na większości jachtów stosowano brązowe skóry, pasujące do dębowej boazerii na ścianach. Nie mógł wybrać odcienia lepiej harmonizującego z ogniste czerwonymi włosami Oli. Podeszedł bliżej i ujrzał jej ciemne rzęsy odbijające się od białych ze zmęczenia policzków. Musiał przyznać, że wyglądała bardzo młodo i delikatnie. Usiadł na krześle i pomyślał, że musi być bardzo wyczerpana po dramatycznych chwilach przeżytych poprzedniego dnia. Sama ucieczka o świcie musiała ją kosztować wiele nerwów, a po poznaniu planów kuzyna na pewno doznała kolejnego szoku nie licząc przerażenia spowodowanego wypadkiem we mgle. Markiz widział zbyt dużo wypadków zaprzęgów konnych, by nie wiedzieć, że Ola miała szczęście wychodząc z tego bez szwanku. Jej kuzyn, który powoził, prawdopodobnie został wyrzucony na drogę i aż trudno było uwierzyć, pomyślał markiz, iż nie miał więcej ran poza tą od uderzenia o kamień. Zazwyczaj w takich wypadkach ludzie łamią kończyny, a markiz znał kilka przypadków, gdy podróżny skreślił kark. Zastanawiał się czy koniom coś się stało, ale uznał, że to nie jego sprawa.

Pod wpływem brandy wplątał się w tę historię z Olą i im szybciej się jej pozbędzie, tym lepiej. Mimo to niepokoił się, jak sama dotrze do Paryża. Mogła wynająć karetkę pocztową z Calais, bo podróżni zazwyczaj tak robili, ale znając francuską żylkę do robienia pieniędzy, na pewno było to kosztowne. Z Bordeaux do Paryża było bardzo daleko i markiz obawiał się, że Ola nie znajdzie pojazdu, który jechałby tam bezpośrednio.

- Nie będę się mieszał do tych spraw! - oświadczył. Zaraz przyszła jednak refleksja, że była młodą damą, przywykłą do opieki służby, krewnych, nauczycieli i guwernantek. - Znajdzie sobie kuriera - podpowiedziała mu krytycznie nastawiona część jego osobowości, chociaż był pewien, że żaden kurier nie zechce eskortować samotnej kobiety. Co więcej, wiedział że są kurierzy żerujący na podróżnych, zdzierający z nich niebotyczne sumy, a nawet nawiązujący konszachty ze złodziejami, którym przekazują ich bagaże i inne kosztowności, a potem zostawiają bez grosza w jakiejś odległej części kraju.

Niech to diabli! Po co ja ją w ogóle spotkałem? - pomyślał markiz.

Jeszcze nie skończył myśli, gdy Ola otworzyła oczy. Przez chwilę patrzyła na niego, jakby zastanawiała się kim jest. Potem przypomniała sobie, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Ja... zasnąłam. Wstyd mi, bo zamierzałam czytać jedną z pańskich książek.

- Bardzo rozsądnie pani postąpiła - odparł markiz. - Na dworze jest wyjątkowo brzydko. Wieje zimny wiatr i na dodatek zacina paskudny śnieg z deszczem.

- Wygląda pan tak, jakby się tym nie przejmował - powiedziała Ola - więc może jutro będę mogła wyjść na pokład.

- Nie wiem, czy będzie bezpiecznie. Ola zaśmiała się cicho.

- Na pewno boi się pan, że złamię nogę i nie będzie można się mnie pozbyć, chyba że wyrzuci mnie pan za burtę!

- Była tak bliska odkrycia prawdziwych myśli markiza, że niemal się zawstydził. Nie odpowiedział, więc Ola rzekła: - Obiecuję, że zejdę na brzeg, gdy tylko mi pan każe, ale chciałabym o coś zapytać.

- O co?

- Płyniemy do Bordeaux, a ja nigdy nie byłam w tym mieście, więc niewiele o nim wiem... czy jest tam dobry jubiler?

- Jubiler? - zapytał markiz z zakłopotaniem. - A po co pani jubiler?

Zastanowił się, czy nie oczekiwała od niego prezentu. Pamiętał kobiety, które w różny sposób doprowadzały go do jubilera, aby mógł okazać im swe przywiązanie w sposób bardziej namacalny niż tylko pocałunkami. Ola spojrzała zawstydzona, a potem powiedziała cicho:

- Wydawało mi się... że jeśli wysiądę w Calais... wystarczy mi pieniędzy na podróż do Paryża, ale Bordeaux jest tak daleko, więc będę musiała sprzedać część mojej biżuterii, a... nie chcę zostać oszukana.

- Chyba nie wyjechała pani z domu, nie mając dość pieniędzy na podróż do Paryża? - zapytał markiz. - Ile pani wzięła ze sobą? - Zapadła cisza i markiz miał wrażenie, że nie zamierzała powiedzieć mu prawdy. - Proszę mnie nie okłamywać! - rzekł ostro. - Mówiąc szczerze, ani trochę nie obchodzi mnie pani finanse, lecz jeśli chce pani mojej pomocy, trzeba być uczciwą.

- Ja... ja nie chciałam skłamać - odparła Ola. - Po prostu nie chciałam, żeby pan pomyślał, że... jestem nierozsądna i zabrałam za mało pieniędzy.

- Ile pani ma?

- Cztery suwereny i trochę... srebrniaków. - Zanim markiz zdołał się odezwać, pospiesznie dodała: - Giles miał jechać ze mną, więc pomyślałam, że to wystarczy.

- Więc chciała pani żeby za nią płacił, nie wiedząc nawet, że zamierza się z panią ożenić? - pogardliwie zapytał markiz.

- Nie, wcale nie! - odparła Ola. - Wiedział, że macocha nie pozwala mi rozporządzać majątkiem, ale mogła zwrócić

moje długi... albo oddałabym mu coś z biżuterii mamy. Jest bardzo cenna!

- I chce pani powiedzieć, że ta biżuteria jest w walizeczce, którą miała pani ze sobą zeszłej nocy? - Ola przytaknęła. - Moje drogie dziecko - powiedział markiz - naprawdę wydaje się pani, że dotrze bezpiecznie do Paryża i nikt jej nie ukradnie, bijąc panią przy tym albo nawet zabijając?

- Nic innego... nie mogłam zrobić - broniła się Ola. - Zaczęła chlipać cichutko. - Teraz, gdy wszystko ułożyło się źle, łatwo powiedzieć: „Powinna pani wiedzieć lepiej!”, ale ja zaufałam Gilesowi, że zabierze mnie do klasztoru. Lecz zeszłej nocy wymyśliłam... coś innego.

- Co? - zapytał nieprzyjaznym tonem markiz.

- Giles wie dokąd się wybierałam i gdy dojdzie do siebie zacznie mnie szukać... więc nie mogę zatrzymać się w klasztorze.

Markiz spojrzał na nią.

- Więc dokąd chce pani jechać?

- Jeszcze nie zdecydowałam.

- Ale musi coś pani postanowić.

- Tak, wiem, ale nie ma powodu, bym zadręczała pana swoimi planami. Dość jasno i słusznie dał mi pan do zrozumienia, że nie jest za mnie odpowiedzialny.

- Nie, oczywiście, że nie - zgodził się markiz. - Ale chyba mogę być ciekawy? Wydaje mi się, że wspomniała pani o jakiejś innej możliwości.

Popatrzyła na markiza, jakby to od niego spodziewała się odpowiedzi. Gdy milczał, powiedziała:

- Przeglądałam słownik francuski i jest tam napisane: fille de joie - „dama do towarzystwa”. Pomyślałam, że to ktoś w rodzaju aktorki. Mam rację?

- Nie do końca - odparł markiz.

- Dowiem się o tym w Paryżu. Kłopot w tym, że nie wiem, gdzie szukać nauczyciela fille de joie! Może powiedzą mi to w teatrze? - Uśmiechnęła się do niego zalotnie, mówiąc dalej: - Zakonnice będą zaszokowane! One uważają, że teatry to wymysł diabła i zawsze ostrzegały nas przed chodzeniem tam, chociaż od czasu do czasu wolno nam było pójść do opery.

Markiz nie miał pojęcia, co powiedzieć temu naiwnemu, głupiutkiemu dziecku. Podjął decyzję.

- Wszystko co mogę zrobić - powiedział stanowczym tonem - to odwieźć panią do Plymouth. Tam znajdę odpowiedniego kuriera, który zawiezie panią do macochy.

Ola krzyknęła przerażona.

- Jak może pan proponować coś tak niskiego, okrutnego i zdradzieckiego? - zawołała. - Wie pan, że nie mogę wrócić do macochy i nie ma pan prawa odsyłać mnie do niej. - Przerwała, by złapać oddech. - Nazwałam pana dobrym samarytaninem, a pan jest wilkiem w jagnięcym przebraniu i dobrą nazwę ma ten jacht... pan jest wilkiem morskim i nienawidzę pana!

Podniósł się z krzesła i nie patrząc na nią podszedł do drzwi. Byłoby to godne wyjście, lecz nagłe przechylenie jachtu pozbawiło go równowagi i z największym trudem uchronił się przed upadkiem. Gdy wyszedł, Ola z desperacją spoglądała na drzwi, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Wydawał się taki miły, chętny do pomocy, a nawet podczas lunchu uznała go za interesującego partnera do rozmowy. Nie wiadomo dlaczego zwrócił się przeciwko niej i postępował tak okropnie jak Giles.

- Jak on śmie! Jak śmie traktować mnie jak dziecko i decydować dokąd mam jechać, nie pytając o zgodę! - krzyczała ze wszystkich sił.

Chciała krzyknąć na niego, lecz instynkt podpowiadał jej, że najlepiej byłoby się z nim porozumieć. Ale stanowczość wypowiedzi i wyraz twarzy markiza świadczyły o niezłomności podjętej decyzji i niewielkich szansach na odwiedzenie go od tego. - Jeśli odeśle mnie do domu - pomyślała - znów ucieknę, tylko tym razem będzie to jeszcze trudniejsze. Markiz wiedział, że póki jest z nim nie ucieknie i teraz żałowała, że nie powierzyła mu swojej biżuterii. W tej chwili nienawidziła markiza tak bardzo jak Gilesa. - Wszyscy mężczyźni są tacy sami - pomyślała. - Nie postępują z nami uczciwie, gdy nie mają w tym własnego interesu. Dlaczego dziewczęta w szkole mówiły o mężczyznach, jakby byli najwspanialszymi istotami na ziemi?

- Nienawidzę mężczyzn! - powiedziała Ola. - Nienawidzę ich tak samo, jak nienawidzę macochy! Chcę żyć na własny rachunek, mieć przyjaciół i robić to, na co mam ochotę, bez żadnych rozkazów!

Spodziewała się, że po wyjściu za mąż musi podporządkować się mężczyźnie, który będzie miał nad nią władzę. Zniosłaby to, gdyby była zakochana. Wiedząc, że jest bogata nie spieszyła się do małżeństwa, czekając na kogoś wyjątkowego, dobrego, rozumnego i inteligentnego.

W klasztorze uważała, że trudno jest znaleźć ludzi, z którymi chciałoby się rozmawiać. Zakonnice wydawały rozkazy, ojciec mówił do niej, a nie rozmawiał z nią i właściwie nikt nie był zainteresowany jej poglądami. - Natomiast podczas lunchu markiz słuchał, gdy opisywałam statki, którymi podróżowałam w przeszłości - pomyślała - i wyjaśniał szczegóły budowy swojego jachtu. Z tytułów książek w bibliotece zorientowała się, że interesowało go wiele rzeczy, o których i ona chciała więcej wiedzieć. - Porozmawiamy o tym dzisiaj przy kolacji - myślała z podnieceniem, lecz na razie pamiętała zbyt wyraźnie, co do

niej mówił i co o niej myśli. Była jak zbędny towar, którym rozporządzał nie pytając jej o zdanie. - Nienawidzę go! - pomyślała. - Nienawidzę, bo obraził mnie, gdy już zaczynałam myśleć, że jest dobry i uczciwy. Nie chciała płakać myśląc o swej przyszłości, czuła tylko złość. Jakoś sobie poradzi bez markiza, który zawiódł ją w najmniej spodziewanym momencie.

- To dobrze, że coś go dręczy. Mam nadzieję, że tamta kobieta uczyniła go nieszczęśliwym! - powiedziała do siebie. - Dobrze mu to robi! Jeśli kiedyś mi o tym opowie, roześmieję się. Cieszę się, że cierpi!

Wizje odwetu wydawały się bardzo dobre, ale nie rozwiązywały jej własnych problemów i postanowiła uciec. Nie mogła zrobić tego natychmiast, chyba że zdecydowałaby się rzucić do morza. - Gdybym tak zrobiła - zastanowiła się - utonąłabym i do końca życia dręczyłoby go sumienie. Potem rozsądnie pomyślała, że niewiele by się tym przejął i zapomniał o niej jeszcze przed dotarciem do Morza Śródziemnego. Nie zamierzała się poddać. Usiadła wygodniej i zaczęła snuć plany w jaki sposób uniknąć decyzji markiza. - Może gdybym ukryła się w luku - pomyślała - markiz sądziłby, że wysiadłam i znaleziono by mnie znowu na pełnym morzu. To był całkiem rozsądny pomysł, ale była pewna, iż kurier, którego wynajmie, będzie niczym dozorca więzienny i nie zdoła mu uciec przed odpłynięciem jachtu.

- Co mam zrobić? Co zrobić? - zastanawiała się Ola.

Wraz z raptownym uderzeniem wiatru przyszła jej do głowy myśl, że podczas sztormu nie ona, ale sama natura zmieni plany markiza i nie zdołają w planowanym czasie przybić do portu w Plymouth.

Rozdział 4

Ola siedziała na łóżku. Była zrozpaczona. Od stewarda dowiedziała się, że w zależności od wiatru i przypływu Wilk Morski zawinie do Plymouth dzisiejszej nocy albo jutro z samego rana. Przez ostatnich dwanaście godzin myślała tylko o tym, jak uciec markizowi i przeszkodzić mu w haniebnym odesłaniu jej do macochy. Miała dość rozsądku, by podczas wspólnego lunchu nie okazywać zdenerwowania, tylko spokojnie rozmawiać o wyścigach i koniach. Widziała, że jest zdziwiony unikaniem rozmowy na temat jej przyszłości, lecz po nieco ceremonialnym początku posiłku stopniowo odprężył się i traktował ją jak partnera w dyskusji. Z każdą godziną była bliżej swego przeznaczenia i jej optymizm malał. Chyba nie pozostawało jej nic innego, tylko opuścić jacht w towarzystwie wyznaczonego przez markiza dozorca, który odwiezie ją do domu. Te ponure rozmyślenia przerwało pukanie do drzwi.

- Proszę! - powiedziała i w drzwiach stanął życzliwy jej steward.

- Przepraszam, panienko - powiedział - ale czy przypadkiem ma pani przy sobie nieco laudanum? Kapitana tak bardzo boli ząb, że nie może ustać na mostku.

- Ach! Tak mi przykro! - zawołała Ola. - Chciałabym pomóc, ale nigdy nie mam przy sobie leków.

Steward uśmiechnął się.

- Jest panienka zbyt młoda, jeśli wolno mi tak powiedzieć, żeby chorować, ale wołałem się upewnić co do leku, bo kapitan jęczy jak dusza potępiona.

Ola uśmiechnęła się i powiedziała:

- Powiedz mu, żeby przyłożył na bolący ząb tampon umoczony w alkoholu. Najlepiej w spirytusie lub brandy, chociaż rum jest równie dobry. Pamiętam, że mój ojciec kiedyś tak robił.

- Powtórzę to kapitanowi, panienko - odparł steward. - Na pewno będzie bardzo wdzięczny.

Gdy wyszedł, Ola cicho krzyknęła, bo przypomniała sobie, że może mieć przy sobie odrobinę laudanum. Kiedy opuszczała klasztor dziewczęta dawały jej prezenty, a wśród nich piękny, chiński, emaliowany flakonik z czasów Ludwika XIV. Były w nim trzy niewielkie, trójkątne, szklane buteleczki malowane w kwiaty, zamykane emaliowanymi korkami. Dostała je od swojej przyjaciółki Yvonne, która powiedziała:

- Do jednej wlałam egzotyczne perfumy, do drugiej wodę toaletową, a trzecią musisz napełnić sama.

Były tak ładne, że ustawiła je na toaletce i nigdy ich nie używała. Podczas pakowania przypomniała sobie, że we Francji może spotkać swą przyjaciółkę, więc włożyła je do kuferka. Pomyślała o nich w tej chwili, ponieważ w trzeciej buteleczce było właśnie laudanum. Tuż po powrocie z Paryża rozboleł ją ząb. Okazało się, że to był ropień. Wezwano lekarza, który zobowiązał się przysłać następnego dnia dentystę.

- Wiem jak to boli, panno Milford - powiedział - dlatego zostawię odrobinę laudanum do zażycia przed snem. Lecz proszę uważać i nie wziąć zbyt dużo. Wręczył jej malutką buteleczkę i poinstruował, by wzięła tylko kilka kropli. Lekarstwo pomogło jej znieść ból, a gdy ząb już nie dokuczał, przelała resztkę laudanum do chińskiego pojemniczka.

- Oczywiście, że mogę pomóc kapitanowi! - powiedziała głośno.

Gdyby tego nie zrobiła, markiz potraktowałby to jako próbę zemsty. W kufrze pełnym ubrań znalazła emaliowany pojemniczek, starannie owinięty w bawełnianą szmatkę. Zamierzała przez stewarda przesłać go kapitanowi. Zatrzymała się jednak. Przyszła jej do głowy myśl tak

cudowna, że aż niemożliwa do spełnienia. Usiadła na łóżku, by wszystko przemyśleć.

Ubrana w piękną suknię, w futrze zarzuconym na ramiona, Ola czekała przed kolacją w salonie na markiza. Co wieczór, nie zważając na okropną pogodę, markiz wkładał wieczorowy strój i według Oli jego elegancki i dostojny wygląd bardziej pasował na przyjęcie w Londynie niż na kolację z nią.

- Dobry wieczór! - powiedział wchodząc do salonu. - Wydaje mi się, że wiatr nieco zelżał i Wilk Morski płynie spokojniej niż wczoraj wieczorem.

- Zauważyłam - uśmiechnęła się Ola. - Ale chyba mam poobijane łokcie od podpierania się o ściany kabiny, żeby utrzymać równowagę.

- Więc powinna pani zostać w łóżku! - odparł markiz.

- To byłaby ucieczka, a na to nie godzę się w żadnych warunkach! - Spojrzał na nią ostro, jakby domyślał się, że ma na myśli nie tylko morskie fale. Ola szybko skierowała rozmowę na temat, który chciała z nim przedyskutować, a nie miała dotychczas po temu okazji: - Znalazłam w bibliotece tom Hansarda - powiedziała - i natknęłam się na pańskie wystąpienie w Izbie Lordów o zatrudnianiu w fabrykach i kopalniach małych dzieci.

- Czytała je pani? - spytał zaskoczony markiz.

- Żałuję, że nie mogłam go wysłuchać. To dla mnie bardzo ważny temat, jak dla każdej kobiety.

Żadna ze znanych mu kobiet nie była zainteresowana ani jego przemówieniami, ani cztero - czy pięcioletnimi dziećmi zmuszanymi nieraz do dwunastogodzinnej pracy i bitych, gdy zasypiały ze zmęczenia. Przeszło mu przez myśl, że Ola tylko próbuje mu się przyepochlebić i zaraz zacznie błagać, aby nie odsyłał jej do macochy. Ku jego zaskoczeniu nie tylko mówiła szczerze, ale najwyraźniej przeczytała wiele raportów na ten temat opublikowanych w prasie. Sprzeczek się o wady i zalety

pracy nieletnich oraz o rekompensaty jakie dostaną pracodawcy, gdyby zatrudnianie dzieci było zakazane. Markiz zauważył, że ma dużo do powiedzenia o sprawach, które zamierzał w przyszłości przedstawić w Izbie Lordów, odkrył też jej zainteresowanie reformami.

- Czy to prawda - zapytała - że król napisał na skrawku papieru:

Ja rozważam rozwiązanie, co oznacza zbuntowanie.

- Kto pani to powiedział? - dopytywał się markiz.

- Musiałam to gdzieś przeczytać, ale nie wierzę, żeby król z powodu wieku nie dostrzegął konieczności reform.

- Problem w tym - odparł markiz - że ma zakorzenioną niechęć do podejmowania decyzji i z wielkim trudem przekonał się do rozwiązania parlamentu.

- Zawsze byłam pewna - powiedziała Ola - że brak mu błyskotliwości jego brata, króla Jerzego IV.

- To prawda - zgodził się markiz - chociaż bardzo lubię jego wysokość, czasami nie potrafię zapomnieć, że Greville napisał: „To tylko płytki, wulgarny, gościnny dżentelmen otwierający drzwi całemu światu, z brzydką królową i zastępem bękartów u boku”. - Zdał sobie sprawę do kogo mówi i pośpiesznie dodał: - Przepraszam.

- Nie, proszę tego nie robić - powiedziała Ola. - Wolę gdy mówi pan do mnie jak do równej sobie, a nie jak do pannicy pozbawionej choćby krztyny rozumu.

- Nigdy nie śmiałybym tak o pani powiedzieć - odrzekł markiz.

Steward uprzątnął stół, pozostawiając tylko karafki z brandy i winem. Miały one kształt przystosowany do używania na statku podczas różnej pogody. Wykonane z grubego rżniętego kryształu, rozszerzone ku podstawie, nie przewracały się ani nie spadały ze stołu. Ola przyglądała się im przez chwilę, a potem powiedziała:

- Skoro to nasza ostatnia wspólna kolacja, chciałabym wznieść toast.

Markiz uniósł brwi, lecz ujęty jej miłym zachowaniem odparł:

- Z przyjemnością przyłączę się do tego toastu. Pije pani brandy czy wino?

- Raczej wino - odparła - i tylko odrobinę.

Markiz napełnił do połowy stojący przed nią kieliszek.

- Ja też napiję się wina - powiedział. Ola wyciągnęła dłoń po kieliszek, lecz w tej samej chwili cicho krzyknęła.

- Ach, moja broszka! - Musiałam ją źle przypiąć. Słyszałam, jak upadła pod stół. Mówiąc to, niepostrzeżenie upuściła diamentową broszę, którą trzymała przy obrąbku spódnicy. - Ależ ze mnie niezdara - powiedziała. - Nie powinnam jej brać, ale bardzo pasowała do tej sukni.

- Podniosę ją - odparł markiz. Odsunął krzesło i spojrzał pod stół. Brosza leżała poza zasięgiem jego ręki, więc musiał uklęknąć. Wtedy Ola wlała do jego kieliszka zawartość maleńkiej szklanej buteleczki, którą ukryła przy sobie. Opróżniła buteleczkę, zanim markiz znalazł broszę i wyczołgał się spod stołu, by z powrotem usiąść na krześle. - Proszę - powiedział podając jej diamentową broszę. - To wspaniałe dzieło jubilerskie.

Ola uśmiechnęła się.

- To jedna z mniejszych brosz mamy. Mój ojciec tak bardzo ją kochał, że dawał jej wspaniałą biżuterię przy każdej nadarzającej się okazji!

- Więc musi pani trzymać ją w bezpiecznym miejscu - upomniał Olę markiz - a przy sprzedaży trzeba uważać, by pani nie oszukano.

- Będę uważać - odparła, odbierając od niego broszę i kładąc ją na stole. Podniosła kieliszek.

- Za Wilka Morskiego - powiedziała - za nowe odkrycia i szczęście!

- To uroczy toast! - zachwycił się markiz. Wiedziała, że zaskoczyły go nie tylko słowa, ale i szczerłość jej wypowiedzi. Uśmiechnęła się z rozjaśnioną twarzą.

- Do dna - powiedziała i podniosła kieliszek do ust.

Przygotowany, by ją wprowadzić w dobry nastrój, markiz wypił wino jednym haustem. Gdy przełknął i odstawił kieliszek, zakręciło mu się w głowie.

- To wino... ma chyba... dziwny smak... - zaczął.

Wyciągnął rękę sięgając do karafki, lecz zanim zdążył ją podnieść opadł na krzesło i zamknął oczy. Ola obserwowała go niespokojnie. Podała mu bardzo dużą dawkę laudanum, ale nie wiedziała jak długo będzie działać i czy markiz zdąży zawołać na pomoc stewarda. Nie zdążył, chociaż minęło sporo czasu, zanim usiadł z zamkniętymi oczami, opuścił głowę i Ola upewniła się, że zasnął. Na szczęście fotel, na którym siedział, miał wysokie oparcie i nikt, kto stanąłby w drzwiach nie mógł się domyślić, że markiz śpi. Wiedząc że steward nasłuchuje pod drzwiami, na wypadek gdyby go zawołano, nie przestawała mówić. Nie ośmieliła się naśladować głosu markiza, więc hałasowała w czasie jego rzekomych odpowiedzi, mając nadzieję, że to nadaje jej głosowi głębsze brzmienie. Po dziesięciu minutach nacisnęła złoty dzwonek i przywołała stewarda. Gdy wszedł, powiedziała podnieconym głosem, udając że zwraca się do markiza:

- Ach, proszę pozwolić mi wydać to polecenie! Jest pan cudowny! Taka jestem szczęśliwa! Potem zwróciła się do stewarda. - Czy mógłbyś powiadomić kapitana albo pierwszego oficera, że skoro pogoda się poprawiła, nie popłyniemy, jak zostało ustalone do Plymouth, lecz zmieniamy kurs na południe.

Była tak zadowolona z tego rozkazu, że jej radość udzieliła się stewardowi, który pod koniec rozmowy na jej uśmiech odpowiedział uśmiechem. - Zaraz przekażę rozkaz pierwszemu oficerowi, panienko - powiedział i wyszedł z salonu zamykając za sobą drzwi.

Ola nadal mówiła, zniżając głos, gdy miała naśladować markiza. Potem wzięła karafkę z winem i wylała zawartość za sofę. Było mało prawdopodobne, żeby ktoś to odkrył, a gdy wsiąknie w obicie stanie się zupełnie niewidoczne. Potem odstawiła pustą karafkę na stół i mówiła dalej. Po godzinie ponownie nacisnęła dzwonek i po - wiedziała do stewarda, nieśmiałym, nieco nerwowym tonem:

- Jaśnie pan... zasnął... Chyba był... bardzo zmęczony.

Steward szybko podszedł do stołu, spojrzął na pustą karafkę i powiedział:

- Zawołam Gibsona. Panienska pewnie chciałaby pójść do swojej kabiny.

- To chyba dobry pomysł - zgodziła się Ola - bardzo ci dziękuję. - Nieco później usłyszała, jak niosą markiza do sypialni za jej kabiną. Położyła się myśląc, że tym razem go przechytrzyła! - Zanim się obudzi, będzie zbyt późno, by zawrócić do Plymouth. - powiedziała do siebie.

Zamknęła oczy i postanowiła nie denerwować się tym, co będzie później.

Markiz poruszył się. W pamięci miał tylko niejasny obraz nocnego spaceru po Wilku Morskim. Z trudem otworzył oczy. Ktoś podszedł do niego z przeciwległego rogu kablu,.

- Obudził się pan, milordzie. Powinien pan się czegoś napić - usłyszał głos Gibsona i poczuł jak przyciska mu szklanekę do ust.

Wypił kilka łyków, a potem odwrócił się i wymamrotał ochrypłym głosem:

- Zostaw... mnie... jestem... zmęczony!

Gdy znowu się ocknął, ujrzał promienie słońca przedostające się przez okna i chociaż mógł już trzeźwo myśleć, wciąż miał sucho w ustach.

- Która godzina?... Gdzie jesteśmy? - zapytał Gibsona.

- Płyniemy wzdłuż wybrzeży Portugalii, milordzie.

Minęła chwila, zanim markiz pojął jego słowa. Potem z trudem, próbując wychwycić z pamięci jakieś informacje, powiedział:

- Portugalia? Chyba Plymouth?

- Nie, milordzie, Portugalia! Właśnie udało nam się przepłynąć Zatokę Biskajską.

Markiz zastanowił się nad tym co usłyszał. Potem nieco silniejszym głosem zapytał:

- A co, u diabła, my tutaj robimy? Przecież poleciłem przybić do Plymouth!

- Z tego co wiem, zmienił pan rozkaz polecając kapitanowi płynąć prosto na południe. Cały czas płynęliśmy z wiatrem, więc bardzo szybko minęliśmy zatokę. Szkoda że pan spał i nie mógł tego zobaczyć!

Przez chwilę panowała cisza. Potem markiz zapytał:

- Chcesz powiedzieć, że spałem od czasu, gdy mieliśmy zawinąć do Plymouth?

- Tak, milordzie. Nigdy nie widziałem, żeby pan tak długo wypoczywał - odparł Gibson. - I nigdy nie przypuszczałem, że nawet pełna karafka wina może dać taki efekt.

- Byłem pijany? - dociekał markiz.

- Obawiam się, że tak. Po raz pierwszy widziałem pana w takim stanie!

- Jak długo to trwało?

- Trzy dni, milordzie!

- Nie wierzę! - Markiz z trudem usiadł na łożku. - Trzy dni! - powiedział jakby do siebie. - Sądysz, że to możliwe? Po jednej karafce wina?

- Nie było nic innego, milordzie - bronił się Gibson. - Steward powiedział, że brandy została nie tknięta.

- Spałem trzy dni po jednej butelce wina?

- Musiały być dwie - przyznał Gibson. - To co pan wypił do kolacji i cała karafka potem.

Markiz miał uczucie, że świat wokół niego wiruje, więc znów się położył.

- Coś tutaj nie pasuje, Gibsonie - powiedział. - Bardzo nie pasuje! Gdy wydobreję, zamierzam wyjaśnić tę sprawę.

- Tak, milordzie, oczywiście - przytaknął Gibson - ale teraz powinien pan odpocząć.

Markiz milczał przez chwilę. Potem, gdy lokaj już odchodził, powiedział:

- Ta młoda dama... jak ona się nazywa?

- Panna Milford, milordzie.

- Wciąż jest na pokładzie?

- Tak, milordzie. Cieszy się każdą chwilą podróży. Od rana do nocy siedzi na pokładzie. Nikt z nas nie widział tak szczęśliwej młodej osoby.

Markiz leżał nieruchomo. Teraz przypomniał sobie co zaszło. Trwał w postanowieniu wysadzenia Oli w Plymouth i odesłania jej do macochy, a tym samym pozbycia się odpowiedzialności za nią. Pamiętał jak początkowo spierała się z nim i oskarżała go o zdradę. Potem była zadziwiająco miła, zwłaszcza podczas kolacji. Powoli, z wyraźnym wysiłkiem odtworzył w pamięci wszystko, co się wtedy wydarzyło. Przypomniał sobie wzniesiony przez nią toast i szukanie na jej prośbę broszy pod stołem. Kiedy ją znalazł, podziękowała mu proponując toast:

- Do dna!

Krzyknął cicho. To po wypiciu kieliszka wina o dziwnym smaku ogarnęły go ciemności i już nic nie pamiętał. Markiz był inteligentny i choć niemożliwa wydawała się sytuacja z powieści Waltera Scotta, był już pewny, że w czasie podnoszenia broszy, Ola zatrąła jego wino! Zastanawiał się, skąd miała ze sobą jakieś lekarstwo? Objawy po przebudzeniu przypominały stan, jaki już kiedyś przeżył. To było po złamaniu obojczyka na polowaniu, w Elvin. Wezwano do niego lekarza, który sprawił mu nieznośny ból w czasie nastawiania kości. Markiz kłął, więc lekarz wyjął ze skórzanej torby małą buteleczkę, wylał na łyżeczkę odrobinę brązowej cieczy i powiedział:

- Proszę to wypić, milordzie.
- Co to jest? - spytał markiz.
- Tylko laudanum, ale ono pozwoli znieść najgorszy ból.
- Kobięce leki! - pogardliwie odparł markiz.
- Kobiety nie są tak wytrzymałe na ból jak mężczyźni - odpowiedział lekarz - ale zawsze byłem zdania, że nie należy niepotrzebnie cierpieć.
- Ma pan rację - zgodził się markiz.

Wziął laudanum, które przyniosło mu znaczną ulgę, choć następnego dnia obudził się z ciężką głową i uczuciem suchości w ustach. Oczywiście Ola dała mu laudanum, a on był na tyle nierozsądny, że nic nie podejrzewał, gdy nagle stała się taka miła i zgodna. Wiedział, że była gotowa na wszystko byle nie wracać do macochy, a on postanowił do tego doprowadzić. - Przeklęte kobiety! Wygrała ze mną! - pomyślał ze złością.

Spał niespokojnym snem przez resztę dnia, a gdy się budził był coraz bardziej zły, że pozwolił Oli tak z siebie zadrwić. Teraz nie pozostało mu nic innego jak zabrać ją ze sobą na Morze Śródziemne. W tej chwili powinni znajdować się na wysokości Lizbony. Następnym portem był brytyjski

Gibraltar. Gdyby markiz Elvington zjawił się tam podczas samotnej podróży w towarzystwie pięknej młodej kobiety, wymagałoby to zbyt wielu wyjaśnień. - Może wysadzę ją w Marsylii albo Nicei - pomyślał i zastanowił się, co zrobi Ola, jeśli wyjawia jej swoje plany, czy znajdzie kolejny sposób na ich pokrzyżowanie. Po porządnym nocnym wypoczynku czuł się dość dobrze. Dopisywał mu humor, jeśli nie liczyć złości na Olę. Gdy ubrany wyszedł na pokład, nie potrzebował już płaszcza przeciwdeszczowego, bo świeciło upalne słońce.

- Dzień dobry, milordzie! - powitał go kapitan. - Mam nadzieję, że czuje się pan lepiej.

Markiz przemilczał kąśliwą uwagę na temat zaistniałej sytuacji, tylko odparł:

- Żałuję, że ominęło mnie tyle uroków podróży, kapitanie. Wczoraj rano Gibson powiedział mi, że w rekordowo szybkim tempie przepełnęliśmy Zatokę Biskajską.

- To było fantastyczne, milordzie! - odparł kapitan. - Doskonały wiatr, morze lekko wzburzone po sztormie. Widać było, że właśnie zostawiamy zimę i wchodzimy w świat wiosny.

- Tak, to prawda - zgodził się markiz, dostrzegając w kapitanie romantyczną duszę.

Kapitan uśmiechając się przy tym przepaszająco powiedział:

- To nie moje słowa, milordzie, lecz panny Milford. Wszyscy uważamy, że wyglądała jak wiosna i to szczerą prawdą!

Markiz podążył spojrzeniem za wzrokiem kapitana i ujrzał siedzącą za nadbudówką Olę. Z niechęcią przyznał, że wyglądała bardzo wiosennie i pięknie. Słońce rozświetlało jej rude włosy, oczy miały barwę głębokiej zieleni morskich fal, a skóra była zadziwiająco biała. Uniosła dłoń, by mu pomachać i powitać promiennym uśmiechem. Zastanawiał się, jak może

wyglądać tak beztrosko po tym co zrobiła, ale postanowił porozmawiać z nią o tym później. Nie odpowiedział na jej pozdrowienie, spokojnie rozmawiając z kapitanem. Obserwując szybko płynący jacht, nie potrafił być w złym nastroju.

- Powstało niewielkie uszkodzenie, o którym chciałbym porozmawiać, milordzie - powiedział kapitan.

- Uszkodzenie?

- Nic poważnego, milordzie, podczas sztormu obłuzowały się dwie beczki z wodą i wylała się ich zawartość.

- Dwie? - ostro zapytał markiz.

- Zostały naprawione, milordzie, i są tak samo dobre jak przedtem, tyle że puste, więc może rozważyłby pan możliwość zawinięcia do zatoki. Znam jedną, położoną niedaleko stąd, gdzie jest słodka krystaliczna woda.

- Byłeś tam kiedyś? - zapytał markiz.

- Dwa razy, milordzie. Raz podczas wojny, gdy służyłem na okręcie i zabrakło nam wody i drugi raz na jachcie lorda Lutwortha. Chociaż uprzedzałem jego lordowską mość, że nie powinniśmy wypływać z tak skąpymi zapasami wody, był nieugięty w swoich decyzjach i nie posłuchał mnie. Opuszczając szczegóły, podobny wypadek zdarzył się, gdy u południowych wybrzeży Portugalii rozszalał się sztorm.

- To był pech - odparł markiz.

- Wkrótce, milordzie, na pokładzie nie było kropli wody.

- Nam na pewno się to nie przytrafi - powiedział markiz - bo zawiniemy do twojej zatoki, kapitanie. Kiedy tam dopłyniemy?

- Za jakieś czterdzieści osiem godzin, milordzie. Na pewno zechce pan rozprostować nogi na lądzie.

- To dobry pomysł - zgodził się markiz. Wiedział, że Ola obserwowała go przez cały czas i teraz, zupełnie jakby go przyciągała, podszedł do niej.

- Chcę z panią porozmawiać, Olu! - powiedział.
Widział jak przygasło jej spojrzenie, gdy zapytała:
- Tutaj czy w salonie?
 - W salonie - odparł i zszedł pod pokład. Dołączyła do niego po kilku minutach i nie czekając aż się odezwie, przeszła przez kabinę zajmując miejsce na sofie, gdzie zazwyczaj siadała.
 - Ja... przepraszam... bardzo przepraszam... Wiem, że jest pan na mnie... zły - odezwała się.
 - A jak mogę nie być zły? - zapytał markiz.
 - Musiałam się uchronić przed spotkaniem z macochą... i tylko to mogłam zrobić.
 - Co mi pani dała?
 - Laudanum.
 - Ile?
 - Obawiam się, że niemal całą butelkę... ale to była mała buteleczka. Nie wiedziałam, że to bardzo duża dawka.
 - Mogła mnie pani otruć! - ostro powiedział markiz.
 - Nie mogłam - odparła Ola - ale długo pan spał. Cieszyłam się, gdy dotarliśmy do wybrzeży Portugalii.
 - Mam nadzieję, że wie pani jak okropne i niedopuszczalne było pani zachowanie. Trudno mi wyrazić, co czuję.
 - Powiedziałam, że mi przykro - odparła Ola - ale to był jedyny sposób, żeby powstrzymać pana przed odesłaniem mnie do domu, chyba że rzuciłabym się do wody. Ja naprawdę myślałam... o tym.
 - Nie przestraszy mnie pani takimi dramatami.
 - Wiem. Ponieważ nadużyłam pańskiej gościnności, chciałabym wsiąść zaraz po dopłynięciu do wybrzeży południowej Francji.
 - To niezwykle uprzejme z pani strony - sarkastycznie odpowiedział markiz - ale podejrzewam, że będzie pani

musiała stawić czoło tym samym problemom co przedtem - żadnych pieniędzy ani celu podróży.

- Powiedziałam... pojedę do Paryża.

- Ach, na litość boską! - odparł poirytowanym głosem. - Nie możemy zaczynać tego od początku. Albo natychmiast zmienimy temat, albo skończy się to laniem, na które całkowicie pani zasłużyła. - Krzyknęła cicho, ale nic nie odpowiedziała, więc markiz mówił dalej: - To musi być kara za błędy dzieciństwa, bo nadmiernie rozwinięta wyobraźnia daje pani za dużo swobody.

Mówił gorzkim, sarkastycznym tonem, który według Oli był niemal tak bolesny, jak smagnięcia bicia, którym jej groził. I nagle, zastanawiając się nad odpowiedzią, cicho zachichotała:

- Mądrze postąpiłam, prawda? - zapytała. - Byłam zdesperowana... naprawdę zdesperowana, by przeszkodzić panu w wysadzeniu mnie na brzeg w Plymouth. Potem steward zapytał czy nie mam laudanum, bo kapitana boli ząb.

- I nie pomogła pani kapitanowi?

- Nie, bo zapomniałam, że mam je w kufrze - odparła Ola. - Kiedy sobie przypominałam, przyszedł mi do głowy pomysł powstrzymania pana przed odesłaniem mnie do domu i przekonania, aby zabrał mnie pan ze sobą na południe. - Dostrzegła jego twarde spojrzenie i odruchowo położyła mu dłoń na ramieniu. - Proszę... błagam... niech mi pan wybaczy... i pozwoli rozmawiać z sobą tak jak przedtem. To było takie podniecające... takie inne od... i chociaż wiem, że się pan do tego nie przyzna... wydaje mi się, że... że i panu sprawia to przyjemność.

Markiz spojrzał w jej błagające zielone oczy i mimo postanowienia o stanowczości czuł, że mięknie mu serce.

- Jestem na panią bardzo zły - powiedział - ale nie mam innego wyjścia, jak tylko zaakceptować tę nienormalną

sytuację, która przy okazji bardzo niekorzystnie może się odbić na pani reputacji.

- Już dawno przestałam się martwić o swoją reputację - odparła Ola - poza tym nikogo nie interesuje, gdzie teraz jestem, chyba tylko moją macochę, która zastanawia się jak nie dopuścić do odebrania z jej rąk mojego majątku.

- To pani majątek i on jest przyczyną wszystkich kłopotów - odparł markiz.

- Oczywiście i nawet pomyślałam, że gdyby tata miał syna, a ja mniejszą część majątku, nikt nie dbałby o mnie - powiedziała Ola. - Niech to będzie dla pana lekcją! Trzeba mieć liczną rodzinę i dużo dzieci, a nie nudną jedynaczkę.

- Mogę to znacznie bardziej uprościć - odparł markiz - nie zeniąc się w ogóle i nie mając dzieci.

Mówił z goryczą, nie zastanawiając się nad słowami, ponieważ myśl o małżeństwie znów przypomniała mu Sarah. I wtedy uświadomił sobie, że przez te wszystkie dni, aż do dzisiaj, ani razu o niej nie pomyślał.

- Ja też postanowiłam nie wychodzić za mąż - wyznała Ola. - Już zbyt długo rządzono mną, a mąż mógłby być jeszcze gorszy niż macocha, Giles i pan!

- Nie może pani spędzić reszty życia w samotności! - odparł markiz.

- Znajdę sobie przyjaciół - odpowiedziała Ola - a łatwiej jest zmienić przyjaciół niż kuzynów czy męża.

- To są bzdury! - zaperzył się markiz. - Oczywiście że wyjdzie pani za mąż i im szybciej, tym lepiej, bo znajdzie się mężczyzna, który się o panią zatroszczy.

- I który będzie mną rządził?

- Na pewno i co więcej, będzie musiała go pani słuchać.

- Odmawiam, stanowczo odmawiam! - Uśmiechnęła się do niego psotnie i dodała: - Bo śmiem twierdzić, że w ten czy inny sposób potrafię sama o siebie zadbać.

- Skłonny jestem w to uwierzyć, a pani przyszły mąż już teraz cieszy się moją sympatią. - Dostrzegł ogniki w jej oczach i wydało mu się, że nie traktuje go poważnie. Nie był już na nią zły i to przyniosło jej taką ulgę, że śmiała się

z jego bezsilności. - Jest pani wyjątkowo denerwująca! - powiedział. - Jeden Bóg wie, co się pani w życiu przytrafi, ale mnie to nie zmartwi. - Wyciągnął rękę do dzwonka i nacisnął go. - Zamierzam się napić szampana - rzekł. - Przyłączy się pani do mnie?

- To bardzo luksusowa i ekscytująca propozycja - powiedziała Ola - zwłaszcza dla mnie.

- Chyba piła już pani kiedyś szampana?

- Tak, ale nie na morzu, nie na wspaniałym jachcie z przystojnym szlachcicem! - odparła Ola. - Czyż może być lepszy początek przygody i romansu?

Markiz przez chwilę patrzył na nią, a potem się roześmiał. Miał rację, była niepoprawna i nic nie mógł na to poradzić. Nigdy nie przypuszczał, że spotka kobietę zachowującą się tak ostentacyjnie i że to go rozśmieszy.

- Butelkę szampana! - zwrócił się do stewarda. - Podano szampana i steward napełnił nim kieliszki Oli i markiza. Kiedy wyszedł z kabiny, markiz powiedział: - Nie spuszcze wzroku z mojego kieliszka, póki go nie opróżnię, więc jeśli zamierza pani upuścić coś na podłogę, podniesie to pani sama.

- Tak się bałam - przyznała się Ola - że uzna pan za zbyt uwłaczające szukanie broszy i wezwie stewarda, aby ją znalazł, a wtedy wszystko by się skomplikowało.

- Muszę to zapamiętać na przyszłość - powiedział markiz - zwłaszcza w odniesieniu do takich ludzi jak pani.

- Jeśli chodzi o mnie, to może się pan czuć zupełnie bezpieczny, nigdy już nie zrobię czegoś równie bezsensownego.

- Nie będzie się pani więcej bawić moim kosztem - powiedział markiz. - Powiem krótko, w przeciwnym razie wyrzucę panią za burtę!

- Ostrzegam, potrafię pływać! - odrzekła Ola. - I albo dotarłabym do brzegu, albo dostała się na następny jacht, na którym, znając moje szczęście, będzie płynąć przystojny, bogaty i nieżonaty książę. Za każdym razem trzeba mierzyć wyżej!

Markiz znowu się roześmiał.

- Może powinniśmy się ograniczyć do cichego, uboższego w gwałtowne zmiany życia, przynajmniej dopóki nie przybijemy do wybrzeży południowej Francji.

Zapadła cisza. Po chwili Ola zapytała:

- Więc... co zamierza pan... ze mną zrobić?

- Jeszcze nie podjąłem decyzji - odparł markiz - ale oczywiście wiele zależy od pani postępowania do tego czasu.

- Więc będę grzeczna - powiedziała Ola - bardzo, bardzo grzeczna i może gdybym... - Przerwała, zanim pośpiesznie skończyła: - Nie, nie powiem tego. Nie chcę zapeszyć.

- Ma pani rację, to mógłby być okropny pech - zgodził się markiz - ale musi mi pani obiecać, że już nie będzie żadnych podstępów i proszę też przysiąc, że nie ma pani przy sobie leków, trucizn i innej śmiertelnej broni.

- Dobrze więc, obiecuję - powiedziała; Ola - a czy wie pan co robiłam, gdy pan spał?

- Co? - zapytał markiz dość obcesowo.

- Czytałam o projekcie reform. W szufladzie pańskiego biurka znalazłam wiele materiałów na ten temat. - Popatrzyła na niego i szybko zapytała: - Chyba nie gniewa się pan, że to zrobiłam?

- Dochodzę do wniosku, że w pani towarzystwie nie mam szans na żadną prywatność i muszę zaakceptować nieco

przesadne metody postępowania. Dla pani ciekawości nie istnieje żadna świętość.

- Gdybym znalazła listy miłosne albo coś podobnego - odparła Ola - nie przyszłoby mi do głowy, żeby je otworzyć czy przeczytać, ale drukowane kartki, to zupełnie co innego. Dość łatwo zobaczyć, co to jest.

Markiz poddał się i nie próbował nawet tłumaczyć, że jego goście, kimkolwiek są, nie powinni przetrząsać mu szuflad. Zamiast tego powiedział:

- Powinienem być zainteresowany pani opinią zarówno o propozycjach jak i poprawkach, które z pewnością pani przeczytała, a które zostały naniesione na drugim arkuszu.

- Mówiąc szczerze, nie wydają mi się wystarczające - powiedziała Ola.

Wtedy, niemal wbrew sobie, markiz zaczął bronić rządu i odpierać zarzuty Oli, że to „zbyt mało i zbyt późno”, zupełnie jakby rozmawiał z człowiekiem w jego wieku.

Rozdział 5

Wilk Morski zawinął do małej zatoki położonej między wysokimi klifami. Wyglądały jak góry wyrastające z małej piaszczystej plaży i Ola aż krzyknęła z zachwytu, gdy wyłoniły się z porannej mgły.

- To idealne miejsce! - zwróciła się do markiza. - Tak bym chciała popływać w tej krystalicznej wodzie.

- Obawiam się, że jest bardzo zimna - powiedział - a morze o tej porze roku bywa zdradliwe.

- Zawsze jest jakieś wytłumaczenie, żebym nie robiła tego na co mam ochotę - narzekła Ola, a markiz roześmiał się.

- Nie zamierzam pani współczuć - powiedział. - I tak wszystko robi pani po swojemu.

Uśmiechnęła się do niego psotnie i popatrzyła spod rzęs, a markiz wiedział, że próbuje sprowokować. Do spuszczonej na wodę łodzi zeszli po sznurowej drabince Ola i markiz, a po chwili przyniesiono z dolnego pokładu puste beczki na wodę.

- Chciałabym zobaczyć to źródło - powiedziała Ola, gdy zbliżali się do brzegu.

Stanęli przy nim jako pierwsi, ale byli rozczarowani jego widokiem. Z ciemnej skały wypływała wąska strużka wody i dopiero po skosztowaniu można było przyznać rację kapitanowi, tak była czysta i klarowna.

- Gdybyśmy byli odkrywcami - powiedziała Ola - moglibyśmy zbudować tu uzdrowisko i sprzedawać wodę chorym ludziom, chociaż jestem przekonana, że większość ich chorób jest wymyślona.

- Myślę, że Hiszpanie mieliby coś przeciwko temu - odparł z uśmiechem markiz.

Odeszli od źródła po miękkim złotym piasku, a Ola spoglądając na wznoszące się ponad nimi klify powiedziała:

- Jaki cudowny musi być widok ze szczytu nie tylko na morze, ale i ziemię poniżej. Zawsze chciałam zobaczyć Hiszpanię.

- Proponuje pani, żebyśmy tam weszli? - zapytał markiz.

- Dlaczego nie? - odpowiedziała pytaniem Ola. - Po siedzeniu na jachcie przydałaby nam się odrobina sportu.

- Brak mi moich konnych przejażdżek - przyznał markiz - ale sądzę, że to byłaby trudna wspinaczka.

Ola przez chwilę milczała. Przyglądała się maleńkim śladom na zboczu klifu, po którym musiały biegać dzikie kozy. Potem ze śmiechem wykrzyknęła:

- To wyzwanie! Ja zawsze lubiłam wyzwania! Mogę wejść na sam szczyt i jeszcze wyżej!

- Nonsens! - odparł markiz. - To nie dla pani. Jeśli posiedzi pani na piasku i popatrzy jak ja się wspinam, opowiem później o rozciągającym się stamtąd widoku.

- Nie mam zamiaru nawet komentować takiej propozycji - odparła Ola - bo byłoby to niegrzeczne. Zamierzam się wspiąć na klif. Mam wygodne pantofle, odpowiedniejsze niż pańskie buty.

- Rzeczywiście, mogą mi przeszkadzać - odparł markiz - ale zaręczam, że mam wyjątkowo pewny krok i jeśli zaśląbnie pani na górskiej, a raczej na klifowej ścieżce, bez trudu zniosę panią na dół.

- Obraża mnie pan! - wykrzyknęła Ola.

Przy tych słowach odłożyła na bok parasolkę chroniącą ją przed słońcem i popatrzyła na klif, oceniając z którego miejsca najłatwiej będzie się wspinać. Na jachcie nie nosiła kapelusza, ponieważ miała tylko jeden, więc gdy siadywała na pokładzie, osłaniała głowę przed słońcem albo szyfonowym szalem, albo małą parasolką. Na szczęście nie musiała się martwić o swoją cerę, ponieważ miała ona delikatność płatków magnolii, co było charakterystyczne dla rudych

kobiet. Taka cera nie brązowiła na słońcu i chociaż Ola dużo przebywała na pokładzie, wystawiając twarz na wiatr, słońce i deszcz, była wciąż zadziwiająco jasna, kontrastująca z ognistą barwą włosów.

Markiz bardzo dobrze rozumiał, dlaczego budziła w kobietach zazdrość i niechęć. Przyciągała wzrok każdego mężczyzny w towarzystwie, gdziekolwiek się znalazła. Można było krytykować jej nieco teatralny wygląd, a jednocześnie w jej powierzchowności odnajdywało się coś bardzo delikatnego. Otaczała ją taka sama aura i ulotna piękność, jaką markiz widział na jednym z portretów. Nagle przypomniał sobie, gdzie widział taki kolor włosów - na obrazie w jego własnej kolekcji. To był portret markizy Brigidy Spinola - Doria, namalowany przez Rubensa. Zawsze go podziwiał, a błyszczące, miękkie, delikatne loki markizy kojarzyły mu się z wiosenną świeżością. Był pewien, że włosy Oli są takie same. Skarcił się za podziwianie kobiet, wbrew wcześniejszemu postanowieniu. To dziwne, ale gdy teraz myślał o Sarah, nie czuł już kłującego bólu w sercu, nie miał przed oczami czerwonej mgły, a dłonie nie zaciskały się w pięści, jakby zamierzał kogoś zaatakować. Zamiast tego Sarah stała się równie daleka jak Anglia, a gdy słuchał Oli poruszającej tak ciekawe dla niego tematy lub słuchającej go z zainteresowaniem, Sarah przestawała się Uczyć. Straciła moc ranienia i upokarzania go. Nadal powtarzał, że gardzi kobietami, nienawidzi ich i już nigdy nie wda się w podobny związek. Ale w jasnym słońcu, gdy zaprojektowany przez niego jacht okazał się tak prosty w obsłudze, nie było sensu martwić się tym, co minęło.

W tej chwili bawił go upór Oli przy wspinaniu się na klif, choć był pewien, że okaże się to dla niej zbyt trudnym zadaniem. Wspinaczkę rozpoczęli w odległości zaledwie kilku metrów od siebie. Szli po twardej skale wąskimi krętymi

ścieżkami, które wiodły ich coraz wyżej i wyżej. Markiz był wysportowany nie tylko dzięki codziennym rannym przejażdżkom konnym w Londynie czy na wsi. Był doświadczonym bokserem i trenował na ringu, któremu patronowało wielu jego przyjaciół. Uprawiał też szermierkę i chociaż zabawa z pistoletami stała się bardziej modna, fechtunek pozostał wciąż hobby markiza. Dlatego był bardzo dumny ze swojej siły i nie zamierzał, jaki wielu szlachciców za czasów panowania poprzedniego monarchy, pod wpływem alkoholu i rozpusty stać się słabeuszem.

Obecny król oczywiście poczynił pewne zmiany w obyczajach wprowadzonych przez Jerzego IV. Zlikwidował wystawne posiłki, odesłał niemiecką orkiestrę swego brata, na czym zaoszczędził czternaście tysięcy funtów, zwolnił też cały zastęp francuskich kucharzy podróżujących z poprzednim królem od jednej rezydencji do drugiej. Taka ekonomia nie przypadła do gustu tym, którzy przywykli do królewskiego stołu.

- Według mnie to upokarzające i niesmaczne - zwrócił się do markiza jeden z mężów stanu, podczas gdy lord Dudley demonstrując swe niezadowolenie dodał:

- Ładne mi zmiany! Nie wiesz czasem! Zimny pasztet i ciepły szampan, ot co!

Cierpieli stali bywalcy na dworze poprzedniego króla, natomiast reszta społeczeństwa była zadowolona, że William IV zrezygnował z wystawnej ekstrawagancji swego brata. Cieszyli się, gdy ogłoszono, że liczba królewskich jachtów zmniejszyła się z pięciu do dwóch, stadnin o połowę, a setkę ulubionych przez Jerzego IV egzotycznych ptaków i gadów, oddano pod opiekę Towarzystwa Zoologicznego. Król wzbudzał aplauz gdziekolwiek się pojawił i na pewno wielu uczciwych ludzi przyznałoby, że zmiany te przyszły zbyt późno.

Podczas wspinania się na klif markiz stwierdził, że z ulgą wyjechał na jakiś czas z Londynu, odcinając się od wszystkich narzekania i głosów krytykujących obecnego króla za sposób rządzenia. Gdy w grę wchodziły oficjalne wypowiedzi markiz postępował wyjątkowo dyplomatycznie. Największe zagrożenie widział w niedyskrecjach króla Williama IV. Wycofał się wraz z ministrami, gdy William określił króla Francji jako „wyjątkowego łajdaka”. Księżę Wellington ostro skrytykował króla, który zamilkł na kilka tygodni, lecz król jest faktycznie bezkarny i innym razem, rozwścieczony sposobem konstruowania układów przez Francję, na bankiecie dla wojskowych w Windsorze wybuchnął, wyrażając nadzieję, że jeżeli jego goście będą zmuszeni wyciągnąć swe miecze, obróca się one przeciwko Francuzom, naturalnym wrogom Anglii!

- Zasłużyłem na wakacje - powiedział markiz, gdy przypomniał sobie jak musiał uspokajać urażonego ambasadora Francji. - Pograżony w myślach, dopiero teraz zauważył, że Ola go wyprzedziła. Był pewien, że i tak wkrótce się zmęczy, lecz nieco przyśpieszył i zrównał się z nią. - Niech pani będzie ostrożna - ostrzegł ją, - Łatwo się poślizgnąć, spaść z wysoka i skończyć z rozbitą głową albo złamaną nogą. Uśmiechnęła się delikatnie.

- Proszę przestać - powiedziała. - Jestem zwinna jak kozica, którą zresztą bardzo chciałabym zobaczyć.

- Łatwiej je spotkać w głębi lądu - odparł markiz.

- Był pan już w Hiszpanii?

- W Madrycie i w Sewilli.

- Szczęściarz z pana! Właśnie przed chwilą pomyślałam, że gdybym była mężczyzną, zostałabym badaczem. Jaki sens ma siedzenie na jednym miejscu, gdy można podróżować po całym świecie i odkrywać fascynujące zakątki, w których nie był żaden biały człowiek.

- To nie jest życie dla kobiety! - powiedział markiz.

- Wiedziałam, że tak pan odpowie - odrzekła z niesmakiem Ola. - Popatrzyła na niego, a potem ruszyła w stronę szczytu tak szybko, że z trudem ją dogonił. Doszli do płaskiej skały i Ola krzyknęła cicho. - Proszę spojrzeć! - zawołała. - Pieczary! Ależ to ekscytujące!

Gdy markiz wszedł na równinę miał przyspieszony oddech, a wspinaczkę czuł niemal we wszystkich mięśniach. Zaskoczyło go, że Ola w ogóle nie była zmęczona, a jedyną oznaką przebytej drogi były mchy i porosty, które przyczepiły się do jej sukienki. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na leżące przed nimi pieczary. Potem, jakby z wysiłkiem, odwróciła się, by spojrzeć na morze. Przy brzegu widać było jacht kołyszący się na kotwicy i ludzi wnoszących na pokład beczki napelnione źródlaną wodą. Dalej było już tylko połyskujące w promieniach słońca niebieskie morze.

- To piękne! Absolutnie piękne! - wyszeptała Ola.

- To prawda... - zaczął markiz.

- Zastanawiam się... - przerwała Ola.

Nagle cicho krzyknęła i zamilkła, gdyż twarda dłoń zamknęła jej usta i uniosła z ziemi. Niesiono ją do ciemnej jaskini. Przez chwilę nie wiedziała co się dzieje. Potem zaczęła walczyć, lecz okazało się, że trzymają ją cztery bardzo silne ręce, więc jej opór nie miał żadnego sensu i mogła tylko rozpaczliwie zastanawiać się dokąd ją zabierają. Na odpowiedź nie czekała długo, bo ciemny korytarz zmienił się nagle w olbrzymią pieczarę oświetloną migoczącymi pochodniami i płonącym na końcu jaskini ogniskiem. Posadzono ją na ziemi. Wciąż nie mogła się odezwać, bo ciągle zatykano jej usta.

Na środku jaskini ujrzała człowieka, którego wygląd odpowiadał powszechnym wyobrażeniom o zbójach. Ledwie mogła uwierzyć, że jest prawdziwy. Miał długie, ciemne,

tluste włosy, wąsy opadające po obu stronach ust i zawiązaną na głowie kolorową chustkę. Za szerokim czerwonym pasem, okręconym wokół talii, miał zatknięte noże z ozdobnymi rękojeściami, a w ręce trzymał stary pistolet. Dokoła jaskini stało wielu ludzi ubranych tak jak on. Większość z nich miała w rękach noże zamiast pistoletów.

Kilka sekund później trzech mężczyzn wniosło do komnaty markiza. Czwarty kneblował mu usta dłonią. Ola zdała sobie sprawę, że bandyci bali się ich krzyków, ponieważ mogłyby one zaalarmować marynarzy. Widząc dowódcę bandytów z pistoletem w ręce, markiz uznał, że nie warto dłużej walczyć. Stał nieruchomo, przytrzymywany za barki przez porywaczy, z ustami zakneblowanymi dłońmi jednego z bandytów. Dowódca ledwie spojrzał na markiza odwracając się do Oli.

- Na co czekasz? - zapytał jeden z ludzi. - Zabij go i daj mi jego buty!

- Mnie przydałby się jego płaszcz - zadrwił inny - na pewno w kieszeniach ma kilka sztuk złota!

Dowódca zarepetował broń, a Ola zauważyła radość w oczach jego towarzyszy. Pochylili się do przodu, wyraźnie zadowoleni, że ktoś zginie. Nie mogła uwierzyć, że to dzieje się naprawdę, ale gdy dowódca bandy podniósł pistolet pojęła, że on naprawdę z zimną krwią zamierza zastrzelić markiza. Przerazona, ze wszystkich sił ugryzła rękę zakrywającą jej usta. Strażnik był zbyt zajęty obserwowaniem tego, co robi jego dowódca, by zajmować się Ołą. Gdy oderwał rękę od jej ust, zaczęła krzyczeć po hiszpańsku:

- Nie! Nie, senior, proszę posłuchać! - Gdy jej głos rozniósł się po grocie, dowódca bandy popatrzył na nią zaskoczony. - Musi mnie pan wysłuchać - mówiła dalej Ola - jeśli zastrzelisz tego szlachcica, nie wysłuchawszy mnie, popełnisz wielki błąd, bo stracisz dużo pieniędzy.

Mówiła powoli, choć przychodziło jej to z największym trudem, gdyż ze wszystkich sił chciała krzyknąć na złoczyńców. Zauważyła, że nie porozumiewają się czystym kastylijskim językiem, jakiego ona się uczyła, więc mogli mieć trudności ze zrozumieniem jej. Potem pomyślała, że dowódca bandy jest lepiej wykształcony i bardziej kulturalny niż jego kompani.

- Zna pani nasz język, seniora? - zapytał. - Kim dla pani jest ten człowiek? To pani mąż?

- To nieważne - odparła Ola. - Wy powinniście wiedzieć, że jest bardzo bogaty. Nie potrzebujecie jego butów ani płaszcza, potrzebujecie złota, które ma na swoim jachcie, a które uczyni was bogatymi do końca życia.

Dowódca bandy i reszta zbójców słuchali, niemal jakby odebrało im mowę. Potem dowódca zaśmiał się.

- Namalowałaś piękny obrazek, seniora - powiedział - a jak według ciebie mielibyśmy dostać to złoto? Poprosić marynarzy, żeby je przynieśli?

- Zrobią to, jeśli w zamian dostaną swego pana żywego!

- Prędzej my dostaniemy kulkę w łeb, seniora - odparł zbój. - Nie, nie, twój pomysł jest niepraktyczny. Widziałem tu wcześniej statki, ale po raz pierwszy podróżny był na tyle głupi, by wkraczać na moje terytorium.

- W takim razie możemy za to tylko przeprosić, senior - odrzekła Ola - i zapewnić cię, że jeśli ten szlachcic da ci słowo honoru, otrzymasz odpowiednie wynagrodzenie za bezpieczne odesłanie nas na jacht. - Zbój spoglądał na nią sceptycznie, więc dokończyła: - Chyba żadnemu Hiszpanowi nie muszę tłumaczyć, że szlachcic nie łamie danego słowa, tak samo jak wy.

- Seniora, jesteś bardzo elokwentna - odrzekł dowódca bandy - ale moi ludzie nie chcą pieniędzy. Nie są głodni, bo w tej części kraju aż roi się od dzikiej zwierzyny, a jeśli mamy

chęć na tłustą owieczkę albo świnie, farmerzy za bardzo się nas boją, by odmówić! - Uśmiechnął się butnie i dodał: - Nie, seniora, moi ludzie chcą modnych butów, płaszczy, które ochronią ich przed deszczem, może odrobinę pięknej biżuterii do noszenia w uszach albo na rękach.

- To na pewno mogę ci obiecać - pośpiesznie powiedziała Ola. - Mam biżuterię - diamenty, szafiry i perły. Są na jachcie i jeśli odeślesz mnie na dół, przyniosę ci je.

Zapadła cisza, a Ola miała nadzieję, że jej słowa wywarły wrażenie na bandytach, choć nie mogła być tego pewna. Dowódca słuchał jej i patrzył na nią, jakby zastanawiał się nad tą propozycją, ale nie potrafił powziąć żadnej decyzji. Jeden ze zbójców podniósł się ze swego miejsca, podszedł do niego i szepnął mu coś do ucha. Ola żałowała, że nie może usłyszeć jego słów, ale z tej odległości było to zupełnie niemożliwe. Dowódca najpierw skinął głową, potem pokręcił przecząco, następnie znów skinął. Ola spojrzała na markiza, żeby wiedzieć, czy popiera jej zachowanie, czy też jest niezadowolony. Ale on obserwował dwóch mężczyzn dyskutujących na środku jaskini. Ola dopiero w tej chwili poczuła, że serce wali jej jak młotem i zrozumiała, że znaleźli się w krytycznej sytuacji.

W jaskini znajdowało się kilku mężczyzn o wyglądzie bardziej dzikim i bardziej przerażającym niż jakiegokolwiek stworzenia nawiedzające ją w koszmarnych snach. Była pewna, że terroryzowali okoliczne wsie i zabójstwa były dla nich tak normalne jak upolowanie zwierzyny do zjedzenia. Przypomniała sobie opowieści o bandach zbójów napadających na podróżnych w całej Europie. Nigdy nie przywiązywała do nich większej wagi. Dziewczęta w klasztorze opowiadały różne historie o złodziejskich napaściach na ich krewnych lub przyjaciół na głównych drogach i o ratowaniu życia przez pozbywanie się wszystkiego

co posiadali. Oli wydawało się, że tamci bandyci są inni. Gdyby mieszkali w jaskini takiej jak ta, zrozumiałaby, że nie zależy im na pieniądzach. Być może pustelnicze życie, niezależność i nierespektowanie prawa są bardziej atrakcyjne niż żądza posiadania. Z przerażeniem pomyślała, że jej propozycja nie była dość przekonująca, więc pośpiesznie powiedziała:

- Senior, mam inny pomysł!

Dowódca właśnie przytakiwał swemu towarzyszowi, lecz teraz popatrzył na nią i powiedział:

- Tak?

- Może jedno z nas, albo ten szlachcic, albo ja, wróci na jacht po potrzebne wam rzeczy: ubrania, buty, złoto, biżuterię. Położymy wszystko na plaży, żebyście to wyraźnie widzieli, a gdy uwolnicie drugiego zakładnika... odpłyniemy... Zająknęła się, czując, że nie przekonała go, a potem dodała: - Co masz do stracenia w takiej sytuacji? Nie zidentyfikujemy cię, nikt nie będzie do ciebie strzelać, a dostaniesz wszystko co zechcesz. Choć nie była pewna, wydawało jej się, że od kilku słuchających jej mężczyzn dobiegł pomruk poparcia. Jednak dowódca powiedział ostro:

- To zbyt skomplikowane, zresztą dlaczego miałbym ci ufać? Mamy was i ten człowiek umrze, a ty zostaniesz z nami.

- Ola początkowo nie zrozumiała, co to oznaczało. Lecz on po chwili dodał z nieprzyjaznym uśmiechem: - Nie ma tu żadnych kobiet, a ty spodobałaś się kilku moim ludziom, seniora. Ola krzyknęła przerażona:

- Nie! Nie! Naprawdę myślisz, że... zostałam z wami?

- Nie masz wyboru - odparł zbój.

Znowu podniósł pistolet, a Ola z niespodziewaną siłą, która zaskoczyła pilnujących ją ludzi, wyrwała się im i podbiegła do markiza. Zasłoniła go i odwróciwszy się do dowódcy, krzyknęła:

- Jeśli go chcesz zabić, przedtem zabijesz mnie! Jesteście mordercami i wcześniej czy później dosięgnie was kara Boska!

Te słowa brzmiały znacznie lepiej po hiszpańsku niż po angielsku i wywołały głośny sprzeciw większości bandytów. W tej samej chwili markiz zdołał się wyrwać z rąk swoich strażników.

- Przeklnie was! Tak, przeklnie! - krzyknął, ku zaskoczeniu Oli, po hiszpańsku.

Potem znów zaczął się zмагаć z próbującymi go pochwycić ludźmi, ona zaś stała pomiędzy nim a dowódcą trzymającym w ręce naładowany pistolet. Wiedziała, że jeśli się poruszy, on strzeli. Zerkając przez ramię na walkę rozgrywającą się za jej plecami zauważyła, że jeden z bandytów wyciągnął zza pasa nóż i uniósł go nad piersią markiza. Nie zastanawiając się, nad tym co robi, Ola starała się pochwycić ramię unoszące długą, ostrą, potworną klingę. Po chwili zdała sobie sprawę z nieuchronności śmierci markiza. I wtedy nastąpiła tak gwałtowna eksplozja, że Oli omal nie popękały bębunki w uszach. Poczula jak ostrze noża spada na jej ramię i wbija się w ciało. Gdy osuwała się na ziemię nastąpiły kolejne eksplozje, a wraz z nimi pochłaniająca ją ciemność...

Markiz ostrożnie otworzył drzwi kabiny i podszedł do łóżka. Ze stojącego obok krzesła podniósł się Gibson.

- Jak ona się czuje? - spytał przyciszonym głosem markiz.

- Ma wysoką gorączkę, milordzie, i tak jak się spodziewaliśmy nie odzyskała jeszcze przytomności.

- W nocy wydawało mi się, że słyszałem jej głos - powiedział markiz,.

- Bredziła, milordzie, nie rozumiałem co mówiła.

- Zostanę z nią teraz - odparł markiz. - Idź i odpocznij, Gibsonie, to rozkaz!

- Dziękuję, milordzie, ale nic mi nie jest. Przyzwyczailem się do krótkiego snu.

- Będziesz czuwał przy panie Milford dzisiejszej nocy, chyba że pozwolisz mi cię zastąpić - odparł markiz.

- Zostanę z nią, milordzie, tak jak się umówiliśmy. Jeśli posiedzi pan teraz przy młodej pani, ja pójdę się przespać.

- Dobrze - powiedział markiz. - Co jej podać, gdyby chciała pić?

- W jednym dzbanku jest sok cytrynowy, a w drugim woda.

- Woda, za którą omal nie zapłaciliśmy życiem! - powiedział jakby do siebie markiz.

Gibson nie odezwał się. Jeszcze tylko spojrzął na Olę, sprawdzając czy może dla niej zrobić coś więcej, i wyszedł z kabiny. Teraz markiz czuwał przy Oli. Oboje mieli dużo szczęścia wychodząc żywi z tej przygody. Przez moment był pewien, że to koniec. Uratowali ich marynarze, podejmując śmiałą próbę wspięcia się na klif i zastrzelenia dowódcy oraz jego sześciu ludzi. Reszta zdążyła zbiec.

- To moja wina, milordzie - powiedział kapitan, gdy po zniesieniu z jaskini nieprzytomnej Oli markiz bezpiecznie dotarł na jacht.

- Dlaczego winisz siebie? - zapytał markiz.

- Nie przyszło mi do głowy, że zechcecie państwo wspinać się na klif - odparł kapitan - a gdy wyruszyliście byłem pod pokładem pilnując umocowania beczek, żeby nie obluzowały się podczas największego nawet sztormu. - Markiz spojrzął na niego ze zrozumieniem, a kapitan mówił dalej: - A gdy ujrzałem pana i pannę Milford, wspinających się po zboczu, przypomniałem sobie, że ostatnio w tej zatoce ostrzegano mnie przed hiszpańskimi bandami. „Paskudni lokatorzy! - powiedział jeden z żeglarzy na jachcie lorda

Lutwortha. - Poderżną ci gardło, zanim zapytają jak się nazywasz, a niektórzy są uzbrojeni w pistolety i muszkiety".

- I co zrobiłeś? - zapytał markiz.

- Wysłałem na górę człowieka z lornetką i kazałem obserwować pana i młodą panią. Gdy krzyknął, że widzi jak wciągają pana do jaskini, dobrze wiedziałem co zaszło.

- To na pewno Boska opatrność pozwoliła tak szybko przyjść z pomocą i ocalić nas - odrzekł markiz.

- Nigdy bym sobie tego nie wybaczył - żarliwie zapewnił kapitan - gdyby cokolwiek się panu przytrafiło.

- Wiele razy zaglądałem śmierci w oczy - powiedział markiz - ale teraz jest to zbyt świeże, bym miał ochotę przejść przez to jeszcze raz!

- Mogę tylko dziękować Bogu, że nie wróciliście państwo z cięższymi obrażeniami - szczerze dodał kapitan.

Markiz zgadzał się z nim w zupełności.

Przyglądając się Oli, pomyślał, że wykazała się nieprawdopodobną odwagą i sprytem. Gdy przyniesiono go do jaskini, ze zdziwieniem stwierdził, że Ola nie płacze ani nie mdleje na rękach bandytów. Po uwolnieniu się od mężczyzny zasłaniającego jej usta, nie szlochała ani nie błagała, lecz celowo mówiła powoli i dobitnie po hiszpańsku, aby bandyci zrozumieli jej słowa. Aktem heroizmu było zasłonięcie go własną pierśią i rzucenie się do walki ze zbirem, który chciał go dźgnąć nożem. Tego nie oczekiwaliby od żadnej kobiety, zwłaszcza tak młodej i delikatnej jak Ola. Najwyraźniej ognisty kolor włosów zwiastował nieustraszonego ducha tkwiącego w tym ciele. Tylko wyjątkowo odważna kobieta mogła się zaangażować w tyle dziwnych, wydawałoby się rozpaczliwych sytuacji, w tak krótkim czasie. Ostatnia była wręcz fatalna, a najgorsze w niej było cierpienie, przez które musi przejść zamiast niego. Nóż bandyty przebił głęboko jej

ramię i w drodze na jacht krew splamiła suknię, a twarz Oli tak zbladła, że markiz bał się, iż umarła.

Gibson znał się na chirurgii lepiej niż większość prawdziwych chirurgów, których markiz spotkał w wojsku, więc zajął się nią w fachowy sposób. Przy pomocy markiza rozciął suknię Oli i zdezynfekował ranę brandy, bo bał się zakażenia od brudnego noża. Ola na szczęście była nieprzytomna, gdy Gibson zszywał brzegi rany ze zręcznością, której pozazdrościłby mu niejeden chirurg. Potem zgrabnie zabandażował ramię i obaj czekali, co przyniesie następny krytyczny dzień, bo gdyby stan zapalny powiększył się, mogłaby wdać się gangrena. Gibson nalegał, aby to on czuwał przy Oli tej nocy.

- Proszę ją zostawić pod moją opieką, milordzie, a pan niech odpocznie trochę. Może pan zastąpić mnie rano, zanim jeszcze panienka się obudzi.

Markiz zgodził się z lokajem, lecz po położeniu się nie mógł zasnąć, bo pamięć wciąż przywoływała wydarzenia tego dnia, a myśli wędrowały do rannej dziewczyny leżącej w sąsiedniej kabinie. Teraz patrzył na nią i myślał, że na całym świecie trudno byłoby znaleźć tak piękną, a jednocześnie niezwykłą twarz. Po raz pierwszy dostrzegł jej ciemne rzęsy o złocistych koniuszkach, ciemne długie brwi i rozrzucone na białym płótnie pościeli niczym ogniste języki włosy. Przypominały pochodnie palące się w jaskini i zaczął się zastanawiać, czy któryś z uciekających w przerażeniu bandytów kiedykolwiek tam wróci. Miał przeczucie, że po śmierci dowódcy banda się rozpadnie i przynajmniej kilku nieszczęsnych podróżników umknie ataków z ich strony. Była to zbawienna lekcja, choć już dawno powinien wiedzieć, że w obcym kraju należy być ostrożnym. W wielu częściach Europy były jeszcze dzikie, niecywilizowane obszary i nawet podróżując główną drogą do Paryża Ola znalazłaby się w

niebezpieczeństwie. Prześladowaliby ją nie bandyci, ale zwykli złodzieje zabierając biżuterię, a także ludzie oczarowani jej urokiem, którzy dopuściliby się wszystkiego, łącznie z przemocą, żeby zdobyć to czego pożąдали.

- Jak kobieta może się narażać na takie niebezpieczeństwo? - ze złością zapytał markiz.

Zapomniał o młodości, niewinności i niedoświadczeniu Oli. Rozmawiała z nim jak dojrzała osoba i markiz nie pamiętał ani o jej wieku, ani o tym, że pod pewnymi względami niewiele różni się od dziecka. Przypomniał sobie zdziwienie i nieznajomość słowa „kokota”, którą wyobrażała sobie jako aktorkę. - Któregoś dnia jakiś mężczyzna wziąłby sobie za punkt honoru oświecenie jej w tych sprawach - pomyślał cynicznie markiz. - I potem byłaby podobna do innych kobiet; wykorzystywałyby mężczyzn, aż złapałaby tego jednego, gotowego dać sobą manipulować i spełniać jej wszystkie zachcianki. I znowu pomyślał o Sarah. Wtedy przypomniało mu się stanowcze stwierdzenie Oli, że nie chce wyjść za mąż i być zależną od męża. - To będzie niezwykle człowiek, mający swą własną drogę - pomyślał z uśmiechem markiz.

Wtem Ola poruszyła głową i wyszeptała niewyraźnie:

- Muszę... uciekać... muszę! Pomóż... mi... ach... pomóż... mi! - Markiz położył jej dłoń na czole. Było rozpalone od rosnącej gorączki. Znowu poruszyła się niespokojnie i chociaż Gibson unieruchomił jej ramię, markiz bał się otworzenia rany. Nasączył chustkę alkoholem z wodą i położył na czole Oli wilgotny zimny kompres, a ona szepnęła: - Jest taka... mgła... ostrożnie!... Uważaj!

Domyślał się, że znowu jest w powozie i przeżywa trudy i koszmar ucieczki od macochy.

- Olu, wszystko w porządku - powiedział - jesteś bezpieczna i powinnaś zasnąć.

Leżała przez chwilę nieruchomo, jakby chustka na czole przyniosła jej ulgę. Potem niespokojnie krzyknęła:

- Nie mogę... wrócić... Ja muszę... znowu uciekać... nienawidzę go!... Nienawidzę! Jak... jak mam... ocalić... siebie?...

W ostatnich słowach było coś patetycznego, więc markiz powiedział cicho:

- Sama siebie ocaliłaś. Posłuchaj mnie, Olu jesteś bezpieczna i nie musisz wracać do macochy. Rozumiesz?

Nie był pewien, czy dotarły do niej te słowa, ale miał wrażenie, że największe napięcie zniknęło. Wydawało mu się, że znowu zasnęła.

- Chyba właśnie przekonałem sam siebie - rzekł markiz. - Czy mnie usłyszała, czy nie, muszę jej powiedzieć, że nie wróci do macochy i dotrzymam słowa!

Rozdział 6

Gratuluje, młoda damo, ma pani wiele szczęścia, bo rana goi się znakomicie - powiedział lekarz.

Był to tęgi mężczyzna, sprowadzony do portu na Gibraltarze, aby skontrolował ranę Oli. Po wnikliwym badaniu nie mógł dopatrzeć się żadnych nieprawidłowości w leczeniu.

- Musi być pani wyczerpana po tak wysokiej gorączce - mówił dalej - ale jeśli będzie pani odpoczywać i odpowiednio się odżywiać, wkrótce siły wrócą.

- A co ze środkiem wzmacniającym? - zapytał markiz wchodząc do kabiny.

Lekarz rozejrzał się po luksusowym wnętrzu i powiedział z błyskiem w oczach:

- Najlepszy, jaki mogę zapisać, pochodzi z Francji.

Markiz uśmiechnął się.

- Ma pan na myśli szampana?

- Zawsze go przepisuję bogatszym pacjentom - odparł lekarz - a biedniejsi dostają ode mnie butelkę, chociaż nie jest on najlepszej jakości!

Markiz roześmiał się.

- Przynajmniej jest pan szczery.

- Wierzę w siłę woli pacjenta - odparł lekarz. - Jeśli chory chce wyzdrowieć, wyzdrowieje; jeśli chce umrzeć, umrze!

Markiz zauważył, że Ola, chociaż wciąż bardzo słaba, uśmiechnęła się przy tej wymianie zdań, a teraz zachichotała cicho.

- Ja należę do tej pierwszej kategorii - rzekła - i chcę żyć.

- W takim razie szybko musimy panią postawić na nogi i wysłać na tańce - odparł doktor. - Zanim wyszedł z kabiny spojrzał na jej włosy, a gdy znalazł się za drzwiami, Ola usłyszała jego głos: - Rzadko mam zaszczyt leczyć taką piękną młodą damę!

Nie usłyszała odpowiedzi markiza, bo odeszli, już zbyt daleko od kabiny, więc mogła się tylko domyślać czy przyjął komplement lekarza narzekaniem na jej obecność, czy zgodził się z jego opinią. Gdy odzyskała przytomność, zdała sobie sprawę z zamieszania, jakie spowodowała. To Gibson powiedział jej o czuwaniu markiza każdego dnia, gdy była nieprzytomna i miała wysoką gorączkę. - Musiał się strasznie nudzić - pomyślała, ale naraziła się mu już tyle razy, że jeden więcej nie robi żadnej różnicy. Podczas rekonwalescencji markiz przebywał z nią znacznie częściej niż to było konieczne. Czytał jej, nie obrażając się gdy zasypiała, a kiedy tylko była w stanie usiąść na łóżku grali w szachy i karty i, co najbardziej ją cieszyło, rozmawiali. Dopiero gdy minęli Gibraltar i płynęli przez Morze Śródziemne, Ola powoli zaczęła wracać do poprzedniej formy. Gibson był przekonany, że to nie zasługa szampana, ale świeżych pomarańczy i cytryn, które udało im się kupić na Gibraltarze.

- Widziałem zbyt wielu marynarzy, panienko, cierpiących z braku owoców podczas długiego pobytu na morzu - powiedział - bo nie wiedzieli jak bardzo są potrzebne, zwłaszcza przy gojących się ranach.

Ola była skłonna mu wierzyć, więc piła mnóstwo soków, które dla niej przygotowywał i musiała przyznać, że chyba przyśpieszały gojenie się rany.

- Będę miała bliznę? - zapytała Gibsona, gdy zmieniał opatrunek.

- Nie będę kłamać, panienko - odparł. - Ślad zostanie już na zawsze, ale na szczęście jest to osłonięte miejsce, chyba że będzie pani nosić wydekoltowane wieczorowe suknie.

Ola roześmiała się.

- Będę pamiętała, żeby zamawiać tylko skromne.

Gdy powtórzyła markizowi słowa Gibsona, też się roześmiała.

- Na pewno, gdy zjawi się pani na dworze, nie będzie nosić dużych dekoltów - stwierdził - nie przy królowej Adelajdzie.

Powiedział to bez zastanowienia i dopiero gdy Ola oblała się rumieńcem, przypomniał sobie, że jeśli świat towarzyski dowie się o jej postępowaniu, nie dostanie zaproszenia do pałacu Buckingham, a wszystkie poważane w towarzystwie damy wyrzekną się jej.

Nie wolno było do tego dopuścić i postanowił po dotarciu do Nicei znaleźć jakieś rozwiązanie. Przede wszystkim Ola musi mieć opiekuna. Jakby wiedziała o czym myśli, lecz zbyt zmęczona, by w tej chwili z nim dyskutować, Ola zamknęła oczy.

Pomyślał że zasnęła i po kilku minutach cichutko wyszedł z kabiny. Wtedy otworzyła oczy i wpatrując się w sufit zastanawiała się, co ją czeka w przyszłości. Po czterech dniach żeglugi po Morzu Śródziemnym Ola czuła się na tyle dobrze, żeby wyniesiono ją na pokład.

- Panience potrzeba świeżego powietrza, które z powrotem zaróżowi policzki - powiedział Gibson.

Ola pomyślała, że mówił zupełnie jak jej stara niania, która uważała, że świeże powietrze jest lekarstwem na wszystko, nawet na zły charakter. Gdy znalazła się na pokładzie, zrozumiała skąd bierze się doskonały humor markiza i dlaczego nie przeszkadza mu, że płyną do Nicei wolniej, niż gdyby nie było jej na jachcie. Mimo słonecznej pogody morze było zimne, ale markiz kąpał się dwa razy dziennie, rano i po południu. Lubiła patrzeć jak pływa, lecz gdy jego głowa zamieniała się w daleki mały punkt, zaczynała być niespokojna o jego bezpieczny powrót na jacht. Przypominały jej się opowieści o ludziach wciągniętych przez morze, którzy utonęli, zanim ktokolwiek zdołał przyjąć im z

pomocą. Wypytywała o rekiny, ale podobno w tych okolicach ich nie było i jedyne co groziło markizowi, to złapanie kataru.

- A to mało prawdopodobne - powiedział Gibson i dodał z dumą w głosie: - Niewielu jest ludzi tak silnych jak jaśnie pan i gdy jeździ konno albo poluje, prędzej koń się zmęczy niż on.

Oprócz pływania markiz uwielbiał sam sterować Wilkiem Morskim. Musiało mu to sprawiać taką samą radość jak bicie rekordów w powożeniu czy zwycięstwa w konnych wyścigach z przeszkodami.

Leżąc na miękkim pościeliu, przygotowanym dla niej na pokładzie przez Gibsona, rozparta na jedwabnych poduszkach, Ola z przyjemnością obserwowała wszystko, co działo się dokoła. Schodziła na dół z markizem dopiero wtedy, gdy słońce chyliło się ku zachodowi i dał zimny wiatr.

Potem rozmawiali o wielu interesujących sprawach, jak religie orientalne czy abolicjonizm w ustroju sankcjonującym niewolnictwo. Markiza dziwiły nie tylko tematy ich rozmów, ale i ogromna wiedza Oli w tych dziedzinach.

- Jak mogła pani tyle przeczytać w tak młodym wieku? - zapytał któregoś wieczoru, gdy mieli za sobą długą i ożywioną dyskusję o warunkach pracy w kopalniach.

- Nie tylko dużo czytałam - odparła Ola - ale mój tata był bardzo mądrym człowiekiem. Jedyne problem tkwił w tym, że forsował własne teorie i nie słuchał nikogo innego.

Markiz uśmiechnął się.

- To dlatego jest pani taka elokwentna.

- To niezbyt pochlebne dla mnie - zaproponowała Ola - ale odpowiedź brzmi „tak”. Musiałam długo ukrywać swoje poglądy, a teraz, gdy pan mnie słucha wybuchają z siłą wulkanu.

Markiz roześmiał się i pomyślał, że on jest pierwszym mężczyzną rozmawiającym z Ołą, a ona jest pierwszą kobietą zainteresowaną wszystkimi problemami świata, tylko nie nim.

Nigdy w życiu nie dyskutował godzinami z bardzo atrakcyjną kobietą, nie poruszając żadnych osobistych tematów. Ola nie rzucała mu dwuznacznych spojrzeń, nie oczekiwała komplementów i co najważniejsze nie posługiwała się ostrymi, dowcipnymi półsłówkami, które tak uwielbiały eleganckie damy w Londynie, używając ich jako najbardziej atrakcyjnego wabika.

Nie potrafił sobie przypomnieć rozmowy z Sarah, która nie dotyczyłaby ich uczuć albo nie kończyłaby się jego namiętnymi zapewnieniami o miłości do niej. Coraz wyraźniej widział jak go zwodziła, budziła w nim nadzieję, żeby potem ranić wyrzeczeniami, nie chcąc „narażać swej reputacji”. Mimo to cały czas szukała rozrywek w towarzystwie innych mężczyzn. Jego zraniona duma i złość zmalowały do tego stopnia, że mógł spokojnie zastanawiać się nad tym co Sarah czuła, gdy nie zjawił się u niej następnej nocy. Najpewniej czekała na niego, a potem doszła do wniosku, że nie otrzymał jej listu.

Pewnie odczekała jeszcze dwa dni i wreszcie zaczęła się dopytywać o niego albo ktoś jej powiedział, że zatrzymał się w Elvin na jedną noc, ale wyjechał następnego ranka skoro świt. Właśnie wtedy, choćby była głupsza niż początkowo mu się wydawało, musiała zdać sobie sprawę z tego co się stało i zrozumieć, że bezpowrotnie go utraciła.

- Mam nadzieję, że jest smutna - powiedział, odkrywając ze zdziwieniem, że nie musi się bronić przed tą myślą. - Ryzykowała i przegrała, jak wiele kobiet i wielu mężczyzn przed nią i po niej. Po raz pierwszy markiz powiedział: - Dzięki Bogu, odkryłem prawdę, zanim było za późno!

Udało mu się uciec i powinien być za to wdzięczny, tak jak był wdzięczny Oli za ocalenie życia, bo gdyby jej tam nie było, niechybnie zginąłby z rąk bandytów. Kilka dni przed przybyciem do Nicei Ola już wychodziła sama na pokład i

miała dość sił nie tylko na zjedzenie z markizem lunchu, ale również kolacji.

- Dostałam od Gibsona polecenie pójścia spać, zanim pan wypije pierwszą szklaneczkę porto - powiedziała - więc proszę nie śpieszyć się z tym.

- Wie pani, że w kwestii zdrowia musimy być posłuszni Gibsonowi - odparł markiz z przekorną powagą w głosie.

- Doskonale o tym wiem - powiedziała Ola. - Z każdym dniem coraz bardziej upodabnia się do mojej niani, aż jestem bliska, by mówić: „Tak, nianiu” albo „Nie, nianiu”, ilekroć się do mnie zwraca. - Markiz roześmiał się, a ona pośpiesznie dodała: - Ale nie narzekam! Wiem, że gdyby Gibsona nie było na pokładzie, nie siedziałabym tu z panem.

- To naprawdę wspaniały człowiek.

- On uważa, że to dla pana słońce codziennie wschodzi i zachodzi - odparła Ola. - Wychwała pana pod niebiosa dopóty, dopóki nie uznam pańskiej doskonałości.

- Chce mnie pani zawstydzić - wyrzekł markiz - i wydaje mi się, że w pani słowach jest trochę złośliwości.

- Teraz pan jest okropny - droczyła się Ola. - Jest pan wspaniały i czuję, że zanim ta podróż się skończy, ja będę pana chwalić tak jak Gibson.

Powiedziała to bez zastanowienia. Markiz dostrzegł czujność w jej spojrzeniu i rumieńce na policzkach, co oznaczało, że nie chciałyby, aby chwalenie go oznaczało prośbę o nieodsyłanie jej do macochy, choć w Nicei mógłby zrobić to z łatwością. Zawahał się, ale zanim zdążył otworzyć usta wszedł steward i szansa na rozmowę przepadła.

Wilk Morski zawinął do portu w Nicei z samego rana. Ola przyglądała się białym willom i hotelom stojącym nad brzegiem morza i na pobliskich wzgórzach oraz podziwiała pokryty śniegiem nierówny szczyt Mont Chauve, rysujący się na tle nieba. Wszystko emanowało ciepłem i blaskiem. Czuła,

że Nicea wita ją w szczególny sposób. Widziała palmy, dostojne pióropusze tamaryszków, oleandry i żółte mimozy, za których widokiem najbardziej tęskniła.

- Chciałabym od razu zejść na brzeg! - zawołała do markiza. - Nie odpowiedział, więc podniosła na niego wzrok i dostrzegła, że zmarszczył czoło. - Uważa pan, że to byłoby... nierozsądne? - zapytała szybko.

- Chciałbym najpierw sprawdzić - odparł - kogo tutaj znam. W Nicei jest pełnia sezonu, nie chcę, aby znalazła się pani w kłopotliwej sytuacji, zanim podejmiemy jakąś decyzję.

- Tak... oczywiście - pośpiesznie odparła Ola. - Teraz zrozumiała, że powinni wcześniej porozmawiać na ten temat. Mimo to była zadowolona, kiedy dni upływały bez omawiania jej spraw, a markiz był nadzwyczaj miły, dbając o jej szybki powrót do zdrowia. - Na pewno ma pan rację - powiedziała. - Pan wyjdzie na brzeg, a ja poczekam na jachcie.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, doceniając nie tylko jej rozsądek, ale i skłonność do ustępstw, których się nie spodziewał.

- Nie zajmie mi to wiele czasu - powiedział. - Wiem, gdzie pytać, więc wrócę tak szybko, jak to możliwe.

- Będę podziwiał widoki - powiedziała. - Jest tak pięknie, jak na obrazach najlepszych mistrzów, których oglądanie nigdy nie może znużyć.

Markiz opuścił jacht, a Ola zastanawiała się, czy w Nicei spotka były kochanki, które przyjmą go z otwartymi ramionami. Miała nadzieję, że nie zatrzymają go długo, bo bez niego jacht wydawał się pusty, a ona czuła się samotna.

Po pewnym czasie zeszła do salonu, wybrała sobie książkę i zabrała się do lektury. Choć było w niej wiele interesujących tematów, o których mogłaby potem dyskutować z markizem, wciąż zastanawiała się, czy w Nicei skończy się jej podróż. Nie mogła uwierzyć, aby po tym, co wydarzyło się ostatnio,

markiz był tak okrutny i pozbawiony serca, żeby odesłać ją do macochy. Nie widziała innego wyjścia, chyba że wróciłaby do poprzedniego planu i pojechała do klasztoru. Od wypłynięcia z Dover w towarzystwie markiza, po raz pierwszy pomyślała o Gilesie. Miała nadzieję, że gdziekolwiek teraz jest, czuje się już dobrze. W tym co się stało, nie było jej winy. Nie miał prawa tak się zachowywać ani grozić jej zawarciem małżeństwa tylko dlatego, żeby przejąć majątek.

- Jest potworem i nie chcę o nim myśleć! - powiedziała do siebie.

Była przekonana, że markiz, nawet bardzo potrzebując pieniędzy, nie zachowałby się tak grubiańsko. W przeciwieństwie do Gilesa, znalazłby jakiś sposób zarobienia pieniędzy i nie pasożytowałby na swych krewnych i przyjaciółach. - Jest na to zbyt honorowy - pomyślała Ola. - Zamierzała powrócić do lektury, gdy usłyszała kroki na zewnątrz i z gwałtownym biciem serca czekała na powrót markiza. Drzwi się otworzyły i steward zaanonsował:

- Jakiś dżentelmen do jaśnie pana!

Do salonu wszedł mężczyzna i Ola ku swemu zaskoczeniu ujrzała Gilesa.

Milczał, zdziwiony jej obecnością i dopiero po chwili powiedział ostrym tonem:

- A więc tu jesteś! Mogłem się tego spodziewać, ponieważ powiedziano mi, że popłynęłaś z markizem Elvingtonem do Calais.

- Co... ty tu... robisz?

- Szukam ciebie - odparł Giles - chociaż nie przypuszczałem, że znajdę cię w Nicei!

Nie odezwała się, a on, jakby tłumacząc się, powiedział:

- Gdy tylko poczułem się lepiej, pojechałem do klasztoru, mając nadzieję, że tam cię spotkam. - Ola spodziewała się takiego rozwoju wypadków, więc westchnęła tylko, a on

mówił dalej: - Nie wiedziałem gdzie cię szukać, więc przyjechałem do Nicei na kurację. Nie zapytałaś o moje zdrowie, ale może cię zainteresuje, że złamałem dwa żebra, a ból głowy nie ustąpił do tej pory.

- Zasłużyłeś sobie na to - ostro odparła Ola - a ja miałam wiele szczęścia, że udało mi się od ciebie uciec!

- Do markiza Elvingtona!

Powiedział to szyderczym tonem, więc Ola odparła:

- Jego lordowska mość pomógł mi, podczas gdy ty próbowałaś mnie zmusić do małżeństwa, żeby móc zagarnąć mój majątek.

- Przynajmniej gotów byłem się z tobą ożenić - drwił dalej Giles - choć zawsze wiedziałem, że z takimi włosami wcześniej czy później zostaniesz dziwką!

Mówił z taką furją, że nie zauważył powrotu markiza. Dopiero gdy skończył i odwrócił głowę, zobaczył kto za nim stoi.

- Grzecznie przeprosi pan za ton i słowa, jakimi mówi do swojej kuzynki! - cicho zażądał markiz.

- Ani mi się śni! - odparł Giles. - Nazwałem ją dziwką, bo nią jest, ale ponieważ jesteśmy spokrewnieni, wciąż jestem gotów uczynić z niej uczciwą kobietę, a to jest znacznie więcej niż pan jej oferuje.

Rzucił mu te słowa prosto w twarz i Ola zdążyła tylko krzyknąć, gdy markiz go uderzył.

Giles upadł na podłogę, a markiz rzekł spokojnie:

- Wynoś się z mojego jachtu! Jeżeli jeszcze raz cię tu spotkam albo usłyszę jak w grubiański sposób obrażasz jakąkolwiek kobietę, oberwiesz znacznie więcej!

Giles nie ruszał się przez chwilę, a wyraz jego twarzy wydawał się Oli prawdziwie diabelski. Potem podniósł się i powiedział:

- Jeśli myślisz, że puszczę ci to płazem, Elvington, to się grubo mylisz! Po powrocie do Londynu postaram się powiadomić całą elitę towarzyską o uwodzeniu przez ciebie młodych bezbronnych dziewczynek. Nie sądzę, by król lub królowa tolerowali taki brak moralności u jednego ze swoich faworytów.

Gdy skończył, Ola cicho krzyknęła i po wyjściu z salonu Gilesa masującego obolałą twarz oraz podążającego za nim markiza, uciekła do swojej kabiny. Wiedziała, że Giles dotrzyma słowa i markiz utraci łaski królewskiej pary, jeśli dotrze na dwór oszczercza opowieść o tym, jak ona bez żadnej opieki przebywała na jachcie markiza. Królowa była dość tolerancyjna, by zaakceptować i wychowywać gromadkę królewskich bękartów, ale w innych sytuacjach okazywała się pruderyjna i wyjątkowo bezkompromisowa. Wychowana na skromnym prowincjonalnym dworze, ściśle przestrzegała konwenansów w codziennym życiu i nie zamierzała zmieniać ani dopasowywać swoich poglądów do cudzoziemskich wymagań. Ola zorientowała się, że markiz nie tylko był dumny z zaufania jakim darzył go król, ale zobowiązał się chronić monarchę przed rozlicznymi błędami popełnianymi w zapalczywości. Dość szybko wywnioskowała z ich rozmów, że osoby związane z dworem, nawet sam premier, prosili zazwyczaj markiza o pomoc przy przedstawianiu królowi swoich spraw, ponieważ jego wysokość bardzo go cenił.

- Jak mogę mu to odebrać? Jak mogę zniszczyć jego życie? - pytała siebie Ola.

Nie przychodziło jej do głowy inne rozwiązanie, więc pośpiesznie zaczęła pakować do kufra suknie z szafy i pozostałe rzeczy z szuflad. Zdenerwowanie i ból ręki znacznie opóźniły pakowanie. Wreszcie wszystko było gotowe, więc włożyła kapelusz i zawiązała pod brodą kokardę. Podeszła do drzwi kabiny i wezwała stewarda, który, zgodnie z rozkazem

markiza, powinien być w pobliżu. Ale zamiast niego wszedł Gibson.

- Wołałam stewarda - powiedziała.

- Zrobię cokolwiek panienka każe.

Ola zawahała się przez chwilę, a potem powiedziała:

- Proszę zamknąć mój kufer i zanieść go do portu. Poza tym chcę wynająć powóz. - Gibson nie odpowiadał, więc dodała stanowczym tonem: - Natychmiast!

- Obawiam się, że to niemożliwe, panienko.

- Co to znaczy... niemożliwe? - zapytała Ola.

- Zanim mój pan wyszedł na brzeg, powiedział: „Opiekuj się panną Milford, Gibson, dopóki nie wrócę”.

- To nie dotyczy mojej osoby - dumnie odparła Ola. - Muszę wyjechać, Gibsonie, więc byłabym zobowiązana, gdybyś spełnił moje polecenie.

- Przykro mi, panienko, ale nie mogę tego zrobić!

- To znaczy, że odmawiasz wyniesienia mojego kufra na brzeg?

- Jeśli do tego dojdzie, będę musiał panienkę zatrzymać - odparł Gibson. - Poza tym nie ma panienka dość sił, żeby sobie poradzić.

- Gibsonie... ja... muszę wyjechać. Pokręcił przecząco głową, a ona, nie usiłując nawet mu się sprzeciwić, bezsilnie usiadła na łóżku.

- A teraz, panienko - powiedział już innym tonem Gibson - przyniosę filiżankę herbaty. Nic tak nie pomaga na smutek jak filiżanka herbaty.

Wyszedł z kabiny, a Ola zasłoniła oczy dłońmi, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiała.

- Jeśli tu zostanę, skrzywdzę markiza - powiedziała - a tego nie wolno mi zrobić.

Postanowiła wyjechać bez bagażu. Wiedziała, że Gibson poszedł do kuchni przygotować herbatę i jeśli się pośpieszy,

zdoła wymknąć się na pokład i uciec, zanim on to zauważy. Wilk Morski stał przycumowany do portowego nabrzeża, więc po spuszczonej trapie zejdzie na brzeg. Wzięła kuferek z biżuterią i poruszając się cichutko podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie otworzyły się, spróbowała ponownie i z oburzeniem odkryła, że Gibson ją zamknął.

Nie mogła się z tym pogodzić, więc w pierwszym odruchu chciała wyjść przez bulaj, lecz był za mały, by się przecisnąć i dopłynąć do brzegu, udowadniając swą niezależność. Znowu usiadła na łóżku, zdjęła kapelusz i rzuciła nim wyładowując swą złość. Nie poczuła ulgi tylko jeszcze większe zniewolenie niż przed chwilą. Usłyszała wracającego Gibsona, więc nastawiła się na powiedzenie mu bez ogródek, co myśli o takiej impertynencji, że ośmiela się traktować ją jak małe dziecko. Podczas choroby był taki dobry i tak umiejętnie się nią opiekował, ale teraz nadużył jej cierpliwości. Rozległ się szcęk kluczą w zamku i do salonu wszedł nie Gibson, lecz markiz. Wzrok jego padł na zapakowany kufer i na pewno już wiedział, co chciała zrobić. Gdy ich spojrzenia spotkały się, słowa protestu zamarły jej na ustach. Potrafiła tylko patrzeć na niego i myśleć o tym, jaki jest przystojny i silny.

- Przepraszam, że to trwało tak długo - powiedział markiz. - Musiała się pani zastanawiać dokąd poszedłem.

- Chciałam... chciałam wyjechać, ale... Gibson mi nie pozwolił.

- A dokąd się pani wybierała?

- Daleko stąd... żeby Giles nie mógł... pana skrzywdzić, donosząc o wszystkim... królowi i królowej.

- Myślę, że tak ostentacyjne odejście niewiele zmieniłoby jego opowieść, jeśli ktokolwiek go wysłucha.

Ola szeroko otworzyła oczy.

- Powstrzymał go pan? Markiz przytaknął.

- Ale... jak? Co pan zrobił?

Przeszło jej przez myśl, że markiz zranił Gilesa albo nawet go zabił. Ale to oznaczałoby jeszcze większe kłopoty. Poza tym zupełnie nie pasowało do jego charakteru. Ciagle siedziała na łóżku. Markiz podszedł i oparł ramię na pokrytej ornamentami ramie. I nagle Ola zaczęła przeproszać.

- Przykro mi - powiedziała - prosząc o zabranie mnie z Anglii nie przypuszczałam... że mogę pana skrzywdzić... a teraz... po tym, co mówił Giles... zdałam sobie sprawę z tego co zrobiłam i... i tylko mogę powiedzieć, że... bardzo... bardzo mi przykro.

- Skoro tak - odparł markiz - łatwiej mi będzie powiedzieć, co zrobiłem, żeby Giles nie zaszkodził żadnemu z nas swymi opowieściami, które zamierzał przedstawić w Londynie.

- Co pan zrobił? Proszę mi powiedzieć! - rzekła Ola.

- Poinformowałem pani kuzyna - odparł markiz - że się pobraliśmy!

Przez chwilę Oli wydawało się, że nie zrozumiała. Potem spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, które wydawały się wypełniać całą jej twarz, a gdy spostrzegła potwierdzenie w jego wzroku, powiedziała:

- Jak mógł pan zrobić coś takiego? Gdy dowie się, że to nieprawda, będzie jeszcze gorzej.

- Ale to prawda - cicho odparł markiz. - Według prawa jesteśmy małżeństwem, chociaż na pewno pragnęłyby pani kościelnej ceremonii. Dlatego zamówiłem ją na dzisiejszy wieczór. Dostrzegł zaskoczenie Oli, która nie potrafiła wymówić słowa, więc wyjaśnił: - We Francji małżeństwo zawiera się najpierw przed merem miasta i dozwolone jest, aby jedną ze stron reprezentował świadek. - Uśmiechnął się i mówił dalej: - Świadkiem może być tylko osoba odpowiedzialna, więc pomyślałem, że kapitan doskonale się do tego nadaje i zabrałem go ze sobą!

- Naprawdę chce mi pan powiedzieć, że... jestem pańską... żoną? - zapytała Ola.

- Mam dokument, który potwierdzi moje słowa - odparł markiz - ale chyba każda kobieta pragnie być obecna na własnym ślubie, więc pobierzemy się dzisiaj po zachodzie słońca, podczas skromnej ceremonii w kościele protestanckim. Pastor nie tylko z radością udzieli nam sakramentu, ale również dotrzyma tajemnicy.

W kabinie zapanowała zupełna cisza, a potem Ola powiedziała cichym przestraszonym głosem:

- Ale... powiedział pan, że... nienawidzi kobiet i że... nigdy się nie... ożeni!

- A pani - odparł markiz - mówiła, że nienawidzi mężczyzn i nie zamierza wychodzić za mąż. - I znowu na długą chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się markiz: - Olu, jestem pewien, że będzie pani miała dość rozsądku, by rozumieć, że oboje musimy zrobić wszystko co w naszej mocy, by rozwiązać tę trudną sytuację wywołaną przez pani kuzyna. Powinienem był to przewidzieć, ale podczas rekonwalescencji nie chciałem pani męczyć omawianiem przyszłości.

- To bardzo... uprzejme z pana strony - po - wiedziała Ola - ale to... moja wina i... wstyd mi.

- Myślę, że wszelkie winy co do pani postępowania wobec mnie zostały zrekompensowane i wynagrodzone, gdy ocaliła mi pani życie.

- Uratowałam pana - powiedziała Ola - ale to ja nakłoniłam pana do wspinania się na klif i... gdyby nie to, nie wpadłby pan w tarapaty.

- Teraz można tak myśleć - odparł markiz - ale gdybym był sam, mógłbym się wspiąć dla treningu i wszystko potoczyłoby się tak samo, tylko z zupełnie innym zakończeniem. Widział, że nie była przekonana, więc dodał: -

Co się stało to się stało, nie ma sensu oglądać się za siebie i rozważać, co by było, gdybyśmy postąpili inaczej. - Zaśmiał się i dodał: - Każde z nas mogłoby napisać tę historię od nowa, ale najrozsądniej będzie nie walczyć z przeznaczeniem ani nie uciekać od niego, bo to niczego nie rozwiąże.

- Pomyślałam, że jeśli... pana opuszczę... Giles da się przekonać do przemilczenia mojej obecności na Wilku Morskim. On ma mało pieniędzy i mógłby go pan przekupić.

- I pozwolić, żeby mnie szantażował do końca życia? - zapytał markiz. - Nie, Olu, dziękuję bardzo! Wolę moje rozwiązanie i może małżeństwo ze mną nie będzie dla pani aż taką przykrością jak ślub z Gilesem albo samotne życie.

- Gdy leżał na podłodze - powiedziała Ola, zniżając głos - wyglądał jak... diabeł wcielony i... ja wiem, że... jeśli tylko będzie mógł... spróbuje pana skrzywdzić.

- Chyba nie będzie mógł - odparł markiz. - Natychmiast wyślę do Gazette zawiadomienie o naszym ślubie, więc gdy wróci do Anglii nikt nie będzie słuchał tego, co ma do powiedzenia.

Ola zastanawiała się przez chwilę, a potem dodała cichutko:

- Nazwał mnie... dziwką. Czy to jest to samo co... fille de joie?

Markiz wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Tak.

- I kokota... znaczy... to samo. Przytaknął.

- Teraz... wiem, jak wredne i obraźliwe było zachowanie mojej macochy i że... być może... - Przerwała, a po chwili dodała: - Być może pańscy przyjaciele pomyślą, że... nie powinien się pan żenić z kimś... kto wygląda jak ja.

Markiz uśmiechnął się.

- Gdy zobaczą panią moi przyjaciele, pomyślą, że mam wiele szczęścia żeniąc się z kimś tak pięknym! - Z wyrazu jej

twarży odgadł, że mu nie wierzy, więc wykrzyknął: - Na Boga, dziecko drogie, przecież nie mogła pani nie zauważyć, że to z powodu pani urody macocha i na pewno inne kobiety, były o ciebie zazdrosne?!

- Naprawdę tak pan myśli? - zapytała Ola. - Zawsze czułam, że coś jest nie tak... bo ludzie... tak dziwnie patrzyli na moje... włosy.

- Dziwili się, bo to niespotykane połączenie kobiecej urody z niezwykle kolorem włosów.

Choć prawił jej komplementy, ton jego głosu nie był zbyt przekonujący.

- Cieszę się... bardzo się cieszę, że nie musi... się pan mnie wstydzić - powiedziała po chwili.

- Mogę przyrzec, że nigdy nie będę się pani wstydzić - odparł markiz. - Skoro nie ma już żadnych przeszkód w pokazywaniu się ze mną w Nicei, proponuję wybrać się po lunchu na przejażdżkę. Z Villefranche, leżącej przy nadmorskiej trasie, są naprawdę niezwykle widoki.

- Doskonały pomysł! Naprawdę mogę z panem pojechać?

- Każę natychmiast podać lunch - odparł markiz.

Wyszedł z kabiny, a Ola usiadła przy toalecie, by poprawić włosy.

Przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, zastanawiała się nad słowami markiza o jej urodzie. Z tonu jego głosu wynikało, że dla niego nie ma to żadnego znaczenia.

- Chcę, żeby widział, że jestem piękna - powiedziała. - Przypomniała sobie zawarte z nią małżeństwo i zadrżała na tę myśl, bojąc się jego nienawiści, ponieważ chciał być wolny, a został zmuszony do poślubienia jej. - Skąd miałam wiedzieć, że tak się stanie? - zapytała sama siebie.

Nagle zrobiło jej się wstyd własnego postępowania, które zniechęciłoby każdego mężczyznę i sprowokowało do trzymania się od niej z daleka.

Zatruła go lekami, po których trzy dni był nieprzytomny. Potem gdy mógł pojechać na Gibraltar albo do Marsylii został z nią, gdyż leżała ze zranionym ramieniem. A teraz dla ratowania swojej i jej reputacji, musiał się z nią ożenić. To ostatecznie zamknie Gilesowi usta, ale markiz zapłacił za to wysoką cenę. - Nigdy mi nie wybaczysz... nigdy! - powiedziała i na samą myśl o tym poczuła ból serca.

Potem zaczęła się modlić, aby w jakiś sposób znikła jego nienawiść do niej. Błagała Boga, żeby markiz znalazł w niej taką żonę jakiej pragnął, umiejącą według jego życzeń prowadzić dom, rozmawiać o ambicjach zawodowych i pracy w Izbie Lordów. - Nie będę niczego od niego wymagać - przyrzekła sobie.

Zastanawiała się czy to wszystko, czego mężczyzna potrzebuje w małżeństwie. Na pewno chciał więcej. Znała odpowiedź. Mężczyzna potrzebował miłości, ale czy ona mogła ją ofiarować markizowi? Po zadaniu sobie tego pytania ujrzała w lustrze własne, szeroko otwarte, przestraszone oczy. I znalazła odpowiedź, choć bała się ją ubrać w słowa.

Rozdział 7

Boydon i Ola wstępują w święty związek małżeński, biorąc sobie Boga na świadka, przysięgając wierność i na dowód tego wymieniając obrączki. Połączywszy ich ręce ogłaszam mężem i żoną, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

A więc to prawda, pomyślała Ola. Naprawdę wyszła za mąż za markiza! Odkąd opuścili jacht, wszystko wydawało się snem; tak było nierealne, jakby wciąż tkwili we mgle otaczającej ich na początku drogi. Tak naprawdę nic nie wydawało się jej realne od chwili, gdy usłyszała, że w świetle prawa są małżeństwem i wieczorem odbędzie się ich ślub w kościele. Zaraz po lunchu markiz, zgodnie ze swą obietnicą, zabrał ją na wycieczkę po Nicei. Po obejrzeniu widoków z Villefranche, kazał wrócić na jacht.

- Musi pani odpocząć - powiedział. - Czeka panią dziś jeszcze jedno dramatyczne, męczące przeżycie.

Mimo że oczarowało ją słońce, morze i kwiaty, Ola czuła się nieco wyczerpana zachowaniem Gilesa i pakowaniem. Gdy wrócili na jacht, poszła do swej kabiny i położyła się do łóżka. Obawiała się, że będzie leżeć bezsennie, rozmyślając o ich małżeństwie, ale gdy tylko położyła głowę na poduszkach, natychmiast zasnęła. Spała głęboko bez sennych majaków, obudził ją dopiero Gibson, który wszedł zbadać jej ramię.

- Wszystko w porządku - powiedziała szybko.

- Ostrzegałem panienkę przed przepracowaniem - zimno odparł Gibson, znów wcielając się w nianię dbającą o jej zdrowie. - Nie było sensu spierać się z nim, więc pozwoliła na zmianę opatrunku. Uważała to za zbyteczne, skoro rana tak dobrze się goiła, ale Gibsonowi sprawiało przyjemność troszczenie się o nią i był zdecydowany utrzymać swój status do końca. - A teraz, panienko, trzeba wstać i przebrać się - powiedział. - Tutaj jest specjalna suknia dla panienki.

- Suknia! - wykrzyknęła zaskoczona Ola.

- Tak, panienko. Jaśnie pan kupił ją dzisiaj po południu. Powinna pasować, ponieważ podałem mu szczegółowe wymiary.

Ola była zaskoczona nie tylko otrzymaniem w prezencie nowej sukni, ale również zadaniem sobie przez markiza trudu robienia zakupów.

Nie mogła pozbyć się myśli o jego niechęci do małżeństwa i zmuszeniu go do tego przez zaistniałe okoliczności. Była zadowolona, że ich małżeństwo pokrzyżowało diabelskie zamiary Gilesa i markiz nie straci uprzywilejowanej pozycji na dworze królewskim. Przypomniała sobie ze wstydem jak mu się narzucała, gdy chciał się jej pozbyć. Była dla niego ciężarem nie tylko w podróży, ale i w życiu!

Gdy Gibson przyniósł suknię, ponownie zaabsorbowało ją myślenie o markizie, który nie tylko znalazł najlepsze dla nich obojga wyjście z sytuacji, ale uczynił je bardziej atrakcyjnym niż się spodziewała. Suknia była cudowna. Wyglądała w niej dokładnie tak, jak wyobrażała sobie pannę młodą - zwiewnie i nieziemsko pięknie. Uszyta z białego tiulu, miała dopasowany . gorset opinający jej wąską talię, długi tren z tyłu i srebrne wstążki spięte kwiatami pomarańczy. Przypominały jej mimozę, którą oglądała razem z markizem, uginającą się pod ciężarem cudownych, połyskujących w słońcu kwiatów.

- Pasuje jak ulał, panienko! - wykrzyknął Gibson. - Zadowolony był z jej wyglądu i swojej dokładności przy podawaniu miary. Wszedł z kabiny i po chwili wrócił z wiankiem uplecionym z kwiatów pomarańczy oraz welonem tak lekkim, jakby był zrobiony z najcieńszej pajęczyny. Ola pozwoliła upiąć je na rudych włosach, wiedząc, że nadają jej najbardziej odpowiedniego dla każdej panny młodej czystego i niewinnego wyglądu. - Szkoda, że panienka nie może włożyć

jednego z diamentów, jakie jaśnie pan ma w sejfie w Elvin - powiedział Gibson. - Są bardzo piękne, wysadzone szmaragdami, które doskonale będą pasowały, gdy będzie panienska chodzić na bale.

- Mnie wystarczą kwiaty pomarańczy - powiedziała cicho Ola.

Niegodziwością byłoby myśleć o noszeniu rodzinnych klejnotów, należących do markiza, a dzisiaj nie chciało jej się otwierać własnej szkatułki. W głębi serca czuła niezwykłość tego ślubu i wolała, aby cała oprawa była bardzo prosta. Z wyboru markiza wyglądała jak panna młoda, bo wszystkie decyzje jej dotyczące zostawiła w jego rękach. Uważała to za pewien rodzaj przeprosin i zastanawiała się czy to zauważy. Przed wyjściem z kabiny ogarnął ją nagły lęk, bała się ujrzeć zmarszczkę na czole markiza i dowiedzieć się, jak bardzo przykra jest mu myśl o czekającej ich ceremonii. - Może chciałby uciec, tak jak ja zawsze uciekałam, gdy sprawy mnie przerastały - powiedziała do siebie.

Potem przyszło jej na myśl, że w gruncie rzeczy już są małżeństwem, chociaż na jachcie nikt o tym nie wiedział poza kapitanem. W końcu po namowach Gibsona i dlatego że nie potrafiła znaleźć odpowiedniej wymówki, z wysoko podniesioną głową przeszła do salonu. Czekał tam na nią markiz ubrany we frak. Przypomniała sobie opowieści dziewcząt w klasztorze, że we Francji niezależnie od pory dnia, w której odbywa się ceremonia ślubna, pan młody zawsze wkładał frak. Jej ślub miał się odbyć wieczorem, więc było to tym bardziej właściwe. Wyglądał tak dostojnie, że Ola zapomniała o swoim wyglądzie. Nie sprawiał też wrażenia niezadowolonego, powitał ją z uśmiechem.

- Dziękuję - powiedziała pośpiesznie. - Bardzo dziękuję za... suknię. Nie sądziłam, że... pomyśli pan o takiej... rzeczy, ale... jestem bardzo... wdzięczna.

- Jeśli jest pani gotowa, to proponuję natychmiast wyruszyć do kościoła - powiedział markiz. - Na nabrzeżu czeka powóz. Nawet dwa powozy, bo w drugim pojedzie kapitan, który będzie naszym świadkiem.

Ola wyszła za markizem na pokład, zadowolona z zapadającego zmroku i welonu, który chronił ją przed spojrzeciami ciekawskich oczu. Ale w pobliżu nie było nikogo. Wsiedli do zamkniętego powozu i natychmiast ruszyli. Zastanawiała się, czy powinna z nim rozmawiać, ale on się nie odzywał, więc całą drogę przebyli w milczeniu, tylko światła willi i hoteli rozrzuconych wzdłuż drogi nadawały tej podróży nierealny wymiar. Kościół był niedaleko i gdy dotarli na miejsce markiz pomógł jej wysiąść, a potem podał ramię. Po kilku stopniach weszli do wnętrza. W świetle świec stojących przy ołtarzu Ola zobaczyła malutki kościółek z witrażowymi oknami i kamiennymi kolumnami. W prezbiterium ustawiono kosze z liliami i całe mnóstwo białych goździków zdobiących podstawy kolumn. Wszystko to dodawało kościołowi piękna, jakiego się nie spodziewała, a zapach kwiatów rozchodził się w powietrzu jak woń kadzidła.

Markiz poprowadził Olę do głównej nawy, gdzie czekał na nich kapłan, a gdy stanęli przed nim, natychmiast rozpoczął mszę. Markiz odpowiadał stanowczym tonem, ale dla Oli jej własny głos brzmiał tak dziwnie, że ledwie go poznawała. Bała się zrobienia kroku, którego nie mogła cofnąć. Ale teraz nic już nie mogła na to poradzić, unosiła się na fali zabierającej ją na nieznane morze. Gdy ksiądz pobłogosławił obrączki, Ola poczuła jak palce markiza ujmują jej dłoń, a jego siła dodała jej otuchy. Uklękli i Ola zaczęła się modlić, by ich małżeństwo jakimś cudem okazało się szczęśliwe, a markiz nie potępiał jej za to, że musiał się z nią ożenić. Kapłan pobłogosławił ich i powiedział przyjaźnie:

- Będę się modlił o wasze szczęście. - A potem, zwracając się do markiza, dodał: - Możesz pocałować pannę młodą.

Ola zamarła, obawiając się odmowy markiza, ale on podniósł welon osłaniający jej twarz i spojrzał na nią, zanim jego usta odnalazły jej wargi. To był bardzo krótki pocałunek, raczej symboliczny gest, a mimo to Olę przebiegł dreszcz, jakiego jeszcze nie знаła i poddała mu się... Markiz podał jej ramię i wolno odeszli od ołtarza. Ponad jej głową, tam gdzie nie docierało światło świec, Ola czuła, że towarzyszą im sprzyjające szczęściu duchy niebieskie.

Gdy dotarli do przedsionka cicho krzyknęła, bo na zewnątrz stał szpaler marynarzy z jachtu. Widziała zaskoczenie markiza, ale uśmiechnął się tylko i poprowadził Olę szpalerem ubranych w eleganckie mundury marynarzy. Czekal na nich otwarty teraz powóz, ozdobiony białymi goździkami, takimi samymi jak w kościele. Konie ruszyły. Marynarze sformowali wartę honorową, która jechała za nimi.

- Wiedziałeś o tym? - zapytała.

- Nie miałem pojęcia - odparł markiz. - Szczerze mówiąc, sądziłem że tylko Gibson i kapitan znają naszą tajemnicę.

Ola zaśmiała się cicho.

- To na pewno Gibson obmyślił tę wspaniałą oprawę. On lubi takie rzeczy.

- A ty? Markiz zwracał się do niej głębokim, pełnym czułości głosem, który zawstydził Olę tak, że nie potrafiła na niego spojrzeć, gdy odpowiedziała:

- Oczywiście... to jest... niezwykle dla mnie... Czy moglibyśmy... mieć więcej takich... cudownych zdarzeń w dniu... naszego... ślubu?

Spojrzała na gwiazdy świecące nad ich głowami, a gdy zbliżyli się do portu ujrzeli srebrną poświatę księżyca na morzu i ciemne maszty jachtów rysujące się na tle nieba.

Markiz w milczeniu przypatrywał się krągłej miękkości jej szyi, więc Ola uśmiechnęła się do niego nieśmiało.

- Dziękuję wam! Dziękuję! - zwróciła się do marynarzy, gdy powóz się zatrzymał na pomoście.

Uśmiechnęła się do nich, a oni machali do niej i do markiza, rzucając na wiat czapki w górę, póki państwo młodzi nie przeszli po trapie do wnętrza jachtu.

- Jak wpadli na taki cudowny pomysł? - pytała Ola, gdy weszli do salonu. Okazało się, że to nie koniec niespodzianek.

Cały salon udekorowany był białymi liliami ustawionymi w olbrzymich wazonach. Ola złożyła ręce.

- Kto pomyślał o czymś tak uroczym? - zapytała.

- Dopilnuję, by każdemu podziękować w najbardziej praktyczny sposób - uśmiechnął się markiz.

Słyszała jak polecił stewardowi wydać całej załodze rum, a kapitanowi i oficerom przesłać szampana. Nadeszła pora kolacji i szef kuchni osiągnął szczyt swych kulinarnych możliwości, przygotowując posiłek, jakiego Ola jeszcze nie jadła na pokładzie Wilka Morskiego. Przy deserze stewardzi wnieśli ogromny tort ślubny.

- To biorę na siebie - powiedział markiz. - Kupiłem go dzisiaj, gdy wybierałem suknię dla ciebie.

Tort był wspaniały, złożony z trzech warstw ciasta, udekorowany tradycyjną podkową i sztucznym kwiatem pomarańczy górującym nad malutką, ale bardzo francuską parą nowożeńców pod srebrnym baldachimem uplecionym z kwiatów.

- Razem musimy go pokroić - powiedziała Ola.

Dopiero potem pomyślała, że markiz może uznać taką demonstrację ich związku za nieodpowiednią. Lecz on się zgodził.

- Powinienem zabrać ze sobą miecz, ale nie przypuszczałem, że będzie mi potrzebny. - Ola spojrzała na

niego, by sprawdzić czy mówi to z goryczą, ale on się uśmiechał, i wręczając jej długi ostry nóż, rzekł: - Jestem pewien, że będzie znacznie wygodniejszy od miecza.

Ola ujęła nóż w rękę, a on przykrył je swymi dłońmi. Znow poczuła siłę jego palców, powróciło to samo dziwne uczucie, którego doznała podczas pocałunku i tłumaczyła je swoją nieśmiałością. Tort został pokrojony i stewardzi zabrali większą część, aby częstować wszystkich na pokładzie Wilka Morskiego. Przed markizem postawiono karafkę z brandy, co przypomniało Oli tę noc, gdy podała mu leki. Chyba myślał o tym samym, bo po chwili powiedział:

- Razem przeżyliśmy już kilka dziwnych doświadczeń, Olu, i być może najdziwniejsze z nich nastąpiło dzisiaj.

Pomyślała, że obwinia ją za to, więc po chwili powiedziała cicho:

- Przepraszam... Uniósł brwi.

- Za co?

- Za to... wszystko... wiem... jak musisz się czuć.

- Wątpię.

- Oczywiście, że wiem - nalegała. - Przysięgłeś sobie nigdy się nie żenić i powiedziałeś mi, że nienawidzisz kobiet tak samo jak ja nienawidzę mężczyzn, a teraz... ponieważ się narzucałam... zostałam twoją... żoną.

Z trudem przyszło jej wymówić ostatnie słowo i zająknęła się, bo brzmiało tak osobiście. Czuła jak się rumieni.

- Sądzę, że wiele musimy się nawzajem o sobie dowiedzieć - powiedział markiz - a ponieważ jesteśmy ludźmi inteligentnymi, oboje doskonale wiemy, że to co mówiliśmy wczoraj, niekoniecznie musi oznaczać dzisiaj to samo.

- Próbujesz być dla mnie miły - odparła - ale chcę ci coś powiedzieć.

- Co takiego? - zapytał markiz. Nie nalał sobie brandy, tylko oparł się w fotelu przyglądając się jej tak, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Jesteśmy... małżeństwem - powiedziała cicho Ola. - Wiem, że to było... konieczne i w tych okolicznościach nie było innego wyjścia. Lecz ja chciałabym, żebyś był szczęśliwy i zrobię wszystko... co będziesz chciał, gdy wrócimy do Anglii.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał markiz.

Ola przez chwilę nie potrafiła odpowiedzieć. Próbowwała znaleźć słowa, które oddałyby myśli kłębiące się w głowie, a mimo to nie umiała ich jasno sformułować. Po długiej chwili milczenia, powiedziała:

- Jeśli zechcesz, bym żyła... bez ciebie albo żebyśmy tylko czasami byli razem, bo ludzie uznają, że to dziwne, jeśli nie będziemy się wspólnie pokazywać, postaram się... zachowywać w sposób odpowiedni dla kobiety, którą postanowiłeś pojąć za żonę.

Markiz milczał, a Ola pomyślała, że prawdopodobnie rozważy jej propozycję życia z dala od siebie, czy nie byłoby ono właściwym rozwiązaniem. Patrzyła na niego.

Był bardzo przystojny, miał w sobie coś, co wyróżniało go w każdym towarzystwie i wśród wszystkich mężczyzn. - Jest taki dystyngowany - pomyślała - i w pewien sposób dostojny. Jest jej mężem, nosi jego nazwisko. I wtedy zrozumiała, że nie chce go opuszczać. Chciała z nim być, chciała z nim rozmawiać... słuchać go... Pragnęła... - ledwie mogła to przed sobą przyznać... - pragnęła... by znowu ją pocałował! To był zupełnie inny od dotychczasowego sposób myślenia o markizie. Czowała serce bijące jej w piersi! W panice chciała uciec z pokoju, bo mógł domyślić się jej uczuć. W tej chwili usłyszała jego głos:

- Olu, podaj mi rękę. - Wyciągnął dłoń, a ona posłusznie podała mu swoją i poczuła zaciskające się na niej palce markiza. - Myślę, że nie powinno być między nami niedomówień i nieporozumień - powiedział. - Powiniennem jasno przedstawić swoje plany na przyszłość i to co do ciebie czuję w tej chwili. Poczuł jej drżące palce, gdy mówił dalej: - Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale gdy się pobieraliśmy, zrozumiałem, że tego właśnie chcę i będziesz żoną, którą sam bym wybrał; gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach.

Ola była tak zaskoczona, że ledwie mogła na niego spojrzeć.

- Naprawdę... tak... myślisz? - wyszeptała.

- Tak - odparł markiz - to szczerą prawdą. Może powiniennem ci wytłumaczyć, choć teraz to chyba nie ma znaczenia, dlaczego powiedziałem, że nienawidzę kobiet i dlaczego w ogóle wybrałem się w tę podróż.

- Nie! - szybko odparła Ola. - Nie, proszę, nie mów! Czuję, w zasadzie byłem pewna, że ktoś cię skrzywdził i zranił, na pewno zrobiła to kobieta, ale wolałabym nie wiedzieć. - Markiz spojrział na nią zaskoczony, a ona mówiła dalej: - To co się stało w przeszłości nie ma nic wspólnego ze mną. Byłeś tu, gdy cię najbardziej potrzebowałam! Więc jeśli to możliwe... chciałabym, abyśmy rozpoczęli wspólne życie na nowo... bez żadnych tajemnic, problemów i trudności, które miały miejsce... zanim się... poznaliśmy. - Cichutko chlipnęła, mówiąc: - Nazwałam cię dobrym samarytaninem i naprawdę nim byłeś. Gdybyś nie zabrał mnie na swój jacht, gdy byłem tak... zdesperowana, moje życie byłoby... inne. Stałoby się... koszmarem, o którym nie potrafię nawet myśleć!

- Wiem, co chcesz powiedzieć - odparł markiz - chyba nie ma drugiej kobiety, równie delikatnej jak ty. - Uśmiechnął się i cała twarz mu pojaśniała, gdy dodał: - Odkąd tylko się

spotkaliśmy, byłaś wyjątkowa, Olu, i zupełnie nieprzewidywalna.

- Wiem - zgodziła się - ale spróbuję... naprawdę spróbuję ze wszystkich sił nie zrobić nic... okropnego, tylko być cichą i... kulturalną... żebyś mógł być ze mnie... dumny.

- Obawiam się, że zbyt radykalna zmiana może być nużąca - odparł markiz. - Przez ten czas zdążyłem się przyzwyczaić do ciebie i chyba brakowałoby mi dramatyzmu w twoim zachowaniu, gdybyś nagle się go pozbyła.

Żartował, wciąż mocno trzymając jej dłoń, gdy Ola powiedziała:

- Wiesz, że chcę cię... uczynić szczęśliwym.

- Dlaczego? - zapytał markiz. Zaskoczyło ją to pytanie, ale odpowiedziała:

- Byłeś taki... miły i... jedyne czego powinnam pragnąć, to... uczynić szczęśliwym człowieka, który jest moim... mężem.

- I to wszystko? - Patrzyła na niego pytająco i pod jego spojrzeniem serce zaczęło jej bić jeszcze szybciej niż przedtem. Nie potrafiła odwrócić wzroku i chociaż markiz się nie poruszał, niemal czuła jak jego dłoń przyciąga ją coraz bliżej i bliżej ku sobie. - Nie odezwała się, więc po chwili powiedział: - Sądzę, Olu, że to kolor włosów wpływa na twoje skrajne uczucia i dlatego pytam, co do mnie czujesz? Pytam nie jako dobry samarytanin czy wilk, jak mnie nazwałaś, ale jako mężczyzna i twój mąż.

Ola słuchała jego głosu niemal jak muzyki. Czuła też wibracje przechodzące na nią z jego dłoni.

- Co mogę... powiedzieć? - zapytała nieco bezradnie.

- Prawdę! - odparł markiz. - Tego właśnie chcę, Olu. Prawdy teraz i zawsze. Nie znoszę, gdy się mnie okłamuje.

Sposób w jaki to powiedział nie pozostawiał wątpliwości, że w przeszłości okłamała go jakaś kobieta i pozostała wciąż

nie zagojona rana. Ponieważ nie miała zamiaru myśleć o wydarzeniach sprzed ich poznania, powiedziała po prostu:

- Nigdy cię nie okłamię. Lecz trudno mi powiedzieć to, co... czuję.

Nie wiedziała jak mu opisać, co dzieje się w jej sercu, jak miała mu powiedzieć, że pragnie, by znowu ją pocałował. Byłby zaszokowany jej myślami! Może uznałby, że zachowuje się nieskromnie albo jak dziwka! Ponieważ nagle poczuła niezrozumiałe podniecenie, wyzwoliła dłoń z uścisku markiza i zerwała się od stołu.

- Myślę, że... chyba... zrobiło się... późno - powiedziała nieco nieskładnie. - To był... długi dzień i... powinnam się... położyć.

Markiz nie poruszył się, tylko spoglądał na nią, stojącą na środku salonu, na jej rude włosy połyskujące pod welonem, doskonałą figurę skrytą pod białym tiulem, po którym bezradnie przesuwiała dłonie ze złotą obrączką na palcu.

- Czekam na odpowiedź, Olu - powiedział.

- Nie wiem... co odpowiedzieć. Nie potrafię znaleźć odpowiednich słów.

Markiz wstał od stołu.

- Słowa są czasami zupełnie niepotrzebne. - Podszedł do niej, objął ją i przyciągnął do siebie, mówiąc: - Wyrażmy swoje uczucia w znacznie prostszy sposób!

I wtedy jego usta spoczęły na jej wargach. Ola tego właśnie pragnęła, długo za tym tęskniła. Nie potrafiła myśleć o niczym innym, poza cudownością jego pocałunku. Czuła jakby srebrna poświata księżycy przeniknęła jej ciało i dziwne poruszenie wpływało wprost z serca. Nie była pewna czy to ona daje markizowi to cudowne uczucie, czy dostaje od niego. Połączyła ich namiętność tak wspaniała, że trudno było ją wyrazić. To była miłość. Miłość, której oczekiwała i bała się, że nigdy nie nadejdzie. Ramiona markiza objęły ją mocniej,

usta stały się bardziej natarczywe i Ola zapragnęła być tak blisko niego, by zatracić się całkowicie. Należała do niego, już nie była sama i nie bała się.

- Kocham... cię! Kocham... cię! Słowa zdawały się wyrywać z ust Oli.

- Właśnie to chciałem usłyszeć, kochanie - odparł.

I znowu ją pocałował ognście, namiętnie i natarczywie. Poczowała jak jej ciało ożywa, wznosi się do nieba, do gwiazd. Była częścią wszechświata, życia i przede wszystkim markiza!
- Dlaczego nikt mi nie powiedział - pomyślała - że miłość jest tak cudowna!

Ole zbudził hałas podciąganej kotwicy. Zorientowała się gdzie jest i krzyknęła ze szczęścia. Leżała w ramionach markiza, z głową na jego ramieniu i czuła bicie jego serca przy swoim.

- Kocham... cię - szepnęła. - Uśmiechał się w bladym świetle przenikającym przez zasłony na oknach. - Czy... naprawdę? Jesteś... pewny? - spytała. - Jestem... tutaj, w twoich... ramionach i... kocham cię.

- Wciąż masz wątpliwości, kochanie? - zapytał.

- Wydaje mi się, że śnię.

- Już się obudziłaś - powiedział - i nawet jeśli śniłaś o mnie, teraz jestem naprawdę!

Zaśmiała się cicho przepelniona szczęściem i przysunęła się do niego.

- Naprawdę... pobraliśmy się... zeszłej nocy? - Mam nadzieję! - odparł. - W przeciwnym razie mogę pomyśleć, najdroższa, że postępujesz w tej chwili nieco nieodpowiednio!

Pocałowała go w ramię namiętnie i delikatnie, co przywróciło blask jego spojrzeniu.

- Jesteś cudowna - powiedział - lecz nie mogę zrozumieć dlaczego nie spostrzegłem od razu, że to ciebie szukałem całe życie?

- Mnie... też jest... wstyd, że byłam tak... mało spostrzegawcza - odparła Ola - bo mimo nienawiści do kobiet byłeś dla mnie miły, a ponieważ miłych ludzi jest bardzo niewiele, miałam szczęście... że znalazłam... jednego z nich.

Markiz pocałował ją błędząc ustami po miękkiej skórze, zanim zapytał:

- Nadal jestem wilkiem w owczej skórze? - Wspaniałym, ekscytującym i... zaborczym wilkiem, którego... bardzo kocham. Roześmiał się.

- Mogłem spodziewać się zaskakującej odpowiedzi. Ostrzegam, że będę bardzo okrutnym i zazdrosnym wilkiem! I jeśli zobaczę, że jakkolwiek mężczyzna podziwia twoje włosy albo dotyka twojej delikatnej skóry, zabiję go!

- Nie musisz być zazdrosny - odparła Ola. - Nadal nienawidzę wszystkich mężczyzn z wyjątkiem ciebie i kocham cię tak bardzo, że w moich myślach, w moim sercu i mojej duszy nie ma miejsca dla nikogo innego.

- I wszystko należy do mnie?

- Wiesz, że tak.

- Poza tym należy do mnie twoje ciało - powiedział markiz - i to jest najwspanialsza, najdoskonalsza rzecz, jaką kiedykolwiek posiadałem.

- Być może przywykniesz do niego i... zapomnisz o nim.

- To mało prawdopodobne - odparł, a po chwili dodał: - Chętnie bym się dowiedział jakie niespodzianki szykujesz dla mnie w przyszłości Już mi powiedziałaś, że nigdy nie powtarzasz swych sztuczek, więc nie muszę się bać otrucia laudanum ani zamordowania przez bandytów. Pozostaje jednak wiele innych okrutnych metod! Ola krzyknęła, szczerze oburzona:

- Jak możesz być tak niesprawiedliwy? - zapytała. - Nie miałam nic wspólnego z bandytami i to ja cię ocaliłam. Ach, kochanie... tak się cieszę, że mi się udało! Gdybyś... zginął...

Markiz przyciągnął ją do siebie.

- Ale żyję - odparł - i w tej chwili chcę mieć z życia to, co najlepsze!

Odnalazł usta Oli i całował ją aż poczuła ogień rozpalający i przenikający całe jej ciało. Objęła go za szyję, przyciągając jeszcze bliżej.

- Jesteś taki... wspaniały... taki cudowny - wyszeptała. - Proszę... naucz mnie kochać cię tak... jak tego pragniesz.

- Chyba nie potrzebujesz wielu lekcji, najdroższa - odparł markiz. - Wszystko czego chcę cię nauczyć, to byś kochała mnie tak, jak ja kocham ciebie.

- Jak możesz mnie kochać po tym, jak... postępowałam? - zapytała. - Kiedy pierwszy raz... o tym... pomyślałeś?

- Wiedziałem, że cię kocham, gdy stanęłaś przede mną, by uratować mi życie - odparł. - Wcześniej oczarował mnie twój wygląd, inteligencja i przede wszystkim urok, który odróżniał cię od wszystkich kobiet, jakie dotychczas spotkałem.

Ola westchnęła ze szczęścia.

- Jak możesz mówić coś tak cudownego? - wyszeptała.

- Gdy siedziałem przy twoim łóżku, kiedy leżałaś nieprzytomna - kontynuował markiz - wiedziałem, że chcę się o ciebie troszczyć i chronić cię, choć nigdy o nikim tak nie myślałem. Co więcej, chciałem byś pobudzała mój umysł i inspirowała mnie, chociaż nie sądziłem, że jakakolwiek kobieta będzie do tego zdolna! - Uśmiechnął się i dodał: - Przedtem czułem się zaspokojony jako mężczyzna, a teraz otrzymałem zaspokojenie psychiczne i fizyczne. Zdarzyło się to pierwszy raz.

- A jeśli... cię zawiodę? - zapytała Ola cichym przestraszonym głosem.

- Nie zawiedziesz - z optymizmem odparł markiz - wierzę, że to los przeznaczył nas sobie na długo przedtem, zanim się poznaliśmy.

Pomyślał, że to los uchronił go w ostatniej chwili przed poślubieniem Sarah; to los sprawił, że dowiedział się o jej zdradzie; to los nakłonił go do ucieczki; to los zaprowadził go w gęstej mgle do Trzech Dzwonów, gdzie spotkał Olę.

Od tamtej chwili wszystko wydawało się niesamowite i to los doprowadził do kulminacyjnego momentu, w którym markiz osiągnął szczęście tak wielkie, że nie podejrzewał, aby mogło być udziałem człowieka. To była miłość, chociaż był przekonany, że dotknęli jej tylko z wierzchu, a w środku pozostało do odkrycia jeszcze wiele jej barw i odcieni. Po spędzonej z nią nocy wiedział, że Ola różniła się od kobiet, które znał do tej pory. Wzbudzała w nim nie tylko namiętność i pożądanie, ale coś znacznie bardziej subtelного. Kochał ją, więc pamiętał o jej młodości i niewinności, był bardzo delikatny i czuły, dlatego razem sięgnęli nieba niczym bogowie. Ogarnęła go wdzięczność dla życia, bo gdy najmniej się tego spodziewał, przyniosło mu najwspanialszą nagrodę, jaką tylko mógł otrzymać. Prawdziwą, doskonałą miłość! Potem jego wargi znów odnalazły jej usta. Wiedział, że ona też go pragnie, a niewinność i brak doświadczenia pomagały jej instynktownie reagować na wszystkie jego prośby i ofiarować mu o wiele więcej niż oczekiwał.

- Kocham cię, moja najdroższa - powiedział. - Będziemy żyć w szczęściu większym niż to, które zdołamy sobie wyobrazić.

- To jest... szczęście, które... chcę ci ofiarować - wyszeptała.

I wtedy poczuła, że stali się jednością. Wiedziała, że przed nimi była długa podróż przez nieznanne morza, czasami spokojne, a czasami nieprzystępne i wzburzone. Lecz to los

przeznaczył ich sobie, i połączył, a teraz doprowadzi bezpiecznie do portu, bo tym statkiem steruje miłość.